MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 11. WARSZAWA, 15 MARCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

STAŁO SIĘ!

TRUDNO jest dziś myśleć i pisać o czemś innem, gdy brzmi nam w uszach triumfalny dźwięk fanfar, przy których wojska niemieckie wkraczały w sobotę 7-go marca nad Ren, obsadzając między innemi tę właśnie Moguncję, którą Napoleon, znawca nielada, uważał za klucz strategiczny tej części Europy. Niejeden patrjota francuski patrzy dziś z rozpaczą na to, że straszliwy wysiłek Wielkiej Wojny, 1.800.000 poległych, nie przeszkodził temu, iż po niewielu latach wróg stoi znów nad granicą, groźniejszy niż kiedykolwiek. Ale chociaż groźba dzisiejsza godzi bezpośrednio przedewszystkiem we Francję, to przecież jasne jest, że nie ogranicza się ona do tego tylko kierunku i wszyscy uczestnicy traktatu wersalskiego mają się nad czem zamyślić, no i... zareagować.

Szło do tego już oddawna, bodaj od chwili podpisania traktatu, a na etapach tej drogi zebrać można obfite pokłosie usterek i błędów.

Najpierw sam traktat jako akt, mający zabezpieczyć Europę, jeżeli nie na „wieczne czasy" („ostatnia wojna"), to w każdym razie na dłuższy okres przed niebezpieczeństwem wojny, podlegał od samego początku krytyce. Francuska generalicja zażądała, jak wiadomo, granicy Renu dla zabezpieczenia Francji przed nową inwazją. Dyplomacja francuska odstąpiła od tego żądania wzamian za gwarancję ze strony Anglji i Stanów, gwarancję, której, jak się okazało, prezydent Wilson nie miał prawa w imieniu swego kraju obiecywać i która też wpadła w wodę. Ale czemu francuscy mężowie stanu byli tak ustępliwi, czyżby istotnie uważali gwarancję papierową za równoznaczną realnej kontroli nad niebezpieczną strefą? Clemenceau, zapytany później o to, odpowiedział dość melancholijnie: „Ja miałem żądać granicy Renu? Ja, z moją przeszłością polityczną?!.."

W tem powiedzeniu leży pewno rozwiązanie zagadki.

Ważniejsze jednak od francuskiej granicy dla pokoju europejskiego było to, że traktat nie zdegradował w hierarchji niemieckiej tego ogniska imperjalizmu jakiem był Berlin, i zamiast przenieść środek ciężkości na południe, do Wiednia i Bawarji, ogołocił Wiedeń z wszelkich wpływów, a Rzeszę po rewolucji i zdetronizowaniu dawnych dynastyj zostawił silniej jeszcze zjednoczoną, niż była dawniej. Pierwszy akt jednoczenia Niemiec pochodzi od Napoleona, który stosując hasła Wielkiej Rewolucji zniósł większość drobnych, udzielnych państewek niemieckich, dalszego ciągu dokonano po zwycięstwie 1918 r. I tu mamy charakterystyczne odezwanie się Clemenceau, podane przed paru laty w *„Revue de Paris"*.

Oto, gdy pewien pośrednik ukazywał mu możność rozbicia sojuszu niemiecko-austrjackiego i zawarcia osobnego pokoju z Austrją, szef rządu francuskiego zawołał, iż „to byłoby przecież zdegradowaniem protestanckich Prus na korzyść katolickiej Austrji, a na to nie pójdę za nic na świecie, *jamais de la vie*!..."

Clemenceau wychodzi w tym wypadku niekorzystnie na porównaniu z kardynałem Richelieu, który, mimo iż był kardynałem i wewnątrz państwa zwalczał i zniszczył polityczną potęgę hugenotów (zostawiając im zresztą swobodę wyznania), w polityce zewnętrznej popierał protestanckich

książąt niemieckich przeciw katolickiemu domowi austrjackiemu, który był wówczas głównym wrogiem Francji.

W naszych czasach działały na korzyć Prus jakieś siły, tak w radykalnych sferach przemożne, że zdołały wykrzywić linję postępowania nawet wielkich patrjotów francuskich.

Najlepszy zresztą traktat nie zda się oczywiście na nic, jeżeli braknie woli wykonywania jego postanowień i decyzji wymuszenia siłą jego poszanowania. Otóż traktat wersalski miał pod tym względem chyba wyjątkowe losy. Odrazu zlekceważył go jeden ze zwycięzców i twórców, Stany Zjednoczone, a w samej Europie klauzule polityczne i militarne zeszły rychło na dalszy plan, na czoło zaś zainteresowań wybiły się odszkodowania pieniężne, i to traktowane metodą bankierską, polegającą na podtrzymywaniu dłużnika, aby przypadkiem nie popadł w niewypłacalność. Ta bankierska polityka poniosła zupełną klęskę, gdyż dłużnik, przekonawszy się po jedynym, ale przerwanym i nie doprowadzonym do końca akcie woli ze strony Francji, jakim była okupacja Ruhry, że nic mu nie grozi, przyjmował chętnie wszelką pomoc, mającą odbudować jego zdolności płatnicze, ale płacić nie myślał i nie zapłacił.

Historja odszkodowań, jeżeli kiedyś będzie całkowicie wykryta, da również wgląd w działanie jakichś sił ukrytych, które zmówiły się na obronę Prus i zniszczenie owoców zwycięstwa Francji. Plan odszkodowań układały przecież nie dzieci, a brzmiał od początku fantastycznie. Któż mógł brać na serjo plan miljardowych spłat, rozłożony na sześćdziesiąt lat zgórą. Jakgdyby w polityce można istotnie coś sensownego planować na przeciąg żywota dwu pokoleń i, co większa jeszcze, jakgdyby można było liczyć na to, że wielki i silny naród pogodzi się potulnie z płaceniem haraczu przez dwa pokolenia i nie będzie potrzeba żadnej siły do utrzymania go w tem posłuszeństwie.

Naród francuski dał się zdumiewająco łatwo przekonać, że papierowe gwarancje załatwiają sprawę i nie trzeba dalszej czujności i gotowości do walki. Nie pobudzały go dochodzące wciąż z sąsiedzkiej kuźni odgłosy młotów, wykuwających odwet. Od maja 1924 r., kiedy odbyły się wybory do parlamentu, które zdecydowały o opuszczeniu Ruhry i briandowskim kierunku polityki, odbyły się jeszcze dwukrotnie wybory powszechne, a jednak w żadnym wypadku wzgląd na politykę zewnętrzną i jawnie załamujący się traktat nie odegrał żadnej roli w kampanji wyborczej. Nie będzie to zapisane na korzyść rządów parlamentarnych, iż obracały się koło spraw drobniejszych, pochlebiając zmęczeniu i potrzebie spokoju i nie śmiejąc zwrócić uwagi narodu na sprawę kapitalną i zażądać od niego wysiłku zapobiegawczego.

Niebawem odbędzie się znów konsultacja w postaci wyborów parlamentarnych. Interesujące będzie, jak też teraz, po odrodzeniu wojskowej potęgi Niemiec i po zajęciu strefy zdemilitaryzowanej, wypadnie. Twierdzą niektórzy, że poza legalnem obliczem kraju, opanowanego przez maszynę wyborczą stronnictw, istnieje jeszcze oblicze realne, zupełnie różne. Czas chyba, aby się to oblicze objawiło...

Z. R.

HISTORJA ŚWIATOWA

NA PODSTAWIE RASOWEJ

POD TAKIM tytułem Wilhelm Erbt[1]) ogłosił syntezę historyczną, opartą na rasowych przesłankach. Osobiście posługuję się drugiem wydaniem książki z r. 1934. Zaznaczyć jednak należy, że zanim mogłem kupioną książkę przestudjować i omówić, zdołało się już pojawić czwarte jej wydanie. Takie jest tempo ruchu czytelniczego, odnoszącego się do literatury rasistycznej.

Chcąc sobie zdać sprawę z wartości omawianej książki, trzeba przedewszystkiem pamiętać, że rasizm wogóle zaczął się od historjozofji, jaką reprezentowała w szczególności książka Gobineau'a. Francuski twórca doktryny rasowej operował jednakże tylko trzema rasami głównemi, t. j. białą, żółtą i czarną, Erbt zaś pokusił się o ilustrację oddziaływania na dzieje ducha poszczególnych składników tych głównych ras, t. j. wszystkich wyróżnionych przez niemiecką szkołę antropologiczną typów rasowych. Oparł się przytem o system Günthera jeśli mowa o antropologji fizycznej; w dziedzinie zaś antropologji psychicznej użył wyników Claussa. Autor wybrał przytem taki sposób postępowania, że uznał wyniki obu tych autorów niemieckich za nie podlegające dyskusji i przejawy życia rozmaitych terytorjów historycznych tłumaczył w swej książce wedle charakterystyk psychicznych poszczególnych ras u obu wymienionych autorów. W ten sposób starał się wyjaśnić możliwie wszystkie zjawiska historyczne.

Taki *modus procedendi* kryje metodycznie dwa bardzo poważne błędy. Pierwszy błąd polega na tem, że nie wszystko w dziejach można tak jak to chce autor wytłumaczyć samym momentem rasowym. Przecież na dzieje świata obok rasy, działającej bezsprzecznie, wpływają też ta-

[1]) Wilhelm Erbt: „*Weltgeschichte auf rassischer Grundlage*". Lipsk 1934, *Armanen-Verlag*, wyd. II, str. 360.

kie ważne elementy jak położenie geograficzne, rozwój historyczny i cywilizacyjny każdego objektu historycznego. Drugi błąd, to przyjęcie gotowych wyników obu wymienionych autorów niemieckich. Wyniki te nie są stanowczo ostateczne. Jest w nich bowiem obok prawdy naukowej także sporo nieporozumień. W związku z tem nie małą zasługę naukową miałby właśnie dobry historyk, jeśliby zaaalizował szereg twierdzeń zarówno Günthera jak też Claussa. Niejedna bowiem cecha psychiczna uważana przez obu niemieckich antropologów za cechę rasową, zdaje się być w rzeczywistości tylko cechą wynikłą z historycznego rozwoju danego terytorjum czy danego ludu. Popełniwszy te dwa błędy metodyczne, autor dokonał tedy właściwie jedynie czegoś, co możnaby porównać ze szkolnem zadaniem na temat „Rasa w dziejach", pisanem np. przy maturze.

Mimo to, że książka nie daje tego, co możnaby osiągnąć w dziedzinie historji i historjozofji opartej o rasę, jest ona bardzo ciekawa. Daje ona bowiem syntezę historjozoficzną niemieckiego kierunku rasowego. Synteza ta jest przytem raczej programem działania aniżeli istotną historjozofją, co zresztą jest dla wszystkich systemów historjozoficznych cechą dość charakterystyczną.

Ujmując historję pod rasowym kątem widzenia, ustala Erbt swoisty schemat rozwoju historycznego dla ludów będących produktem najazdu. Ludy tego typu nazywa terminem „*Pfropfvolk*". Termin ten możnaby oddać w polskim języku nazwą: lud uszlachetniony czy też szczepiony. Powstaje on zawsze przez najazd. Element najezdniczy tworzy w pierwszym okresie historji takiego ludu warstwę panów. Historję takiego ludu ujmuje autor w najogólniejszym zarysie w sposób następujący: „W okresie wczesnym (*Frühzeit*) tubylcy i imigranci, warstwa niższa i warstwa wyższa scalają się w jeden lud mówiący jednym językiem. Po ukończonym procesie scalania się następuje dążność do rozszerzenia swej władzy na inny lud. Nadchodzi okres pełnego rozwoju (*Vollzeit*); równocześnie następuje porozumienie pomiędzy warstwą górną i dolną, występuje tendencja do wyrównania. Przewaga szlachty rodowej zostaje złamana na korzyść niższych warstw, które uzyskują pozycję na drodze ekonomicznej. Lud, który przeszedł tego samego rodzaju mieszaninę rasową, opanowuje ten sam styl życia. W okresie pełnego rozwoju naród znajduje sobie charakterystyczny dla tego stylu wyraz. Późny okres życia narodu (*Spätzeit*) rozpoczyna się rozkładem. Państwo i społeczeństwo ulegają wstrząsom; zanika rygor w życiu, rozpada się więź religijna. Naród staje się zagadką sam dla siebie, zagadką dopominającą się rozwiązania. Ludzie są w głębi serca niezadowoleni. Próbuje się jeszcze opanować rozkład. Samo tylko jednak dziedzictwo długiego doświadczenia nie może zapewnić na końcu trwania narodu. Tego rodzaju rozwój narodu, będący wynikiem imigracji warstwy górnej, da się porównać do rozwoju dziczki, którą zaszczepia ogrodnik. Dziczka i zraz zrastają się, rozwija się nowa korona, nadchodzi czas owocowania. Wkońcu sztuczne drzewo zamiera. Ma ono wprawdzie owoce ale nie ma nasion. Owoce jego mogą służyć jako pożywienie obcemu, ale bez nasienia nie zdołają zrodzić potomstwa swego gatunku."

Schemat powyższy zastosował autor do całokształtu dziejów. Omówił zatem w swojej książce epokę lodową i polodową. Całość dziejów rozpatruje według stref antropo-geograficznych i historycznych względnie cywilizacyjnych. Wyróżnia przytem następujące strefy: wschodnią, śródziemnomorską, zachodnią i północną. Do wschodniej strefy cywilizacyjnej zalicza Akkad, Babilonję, Assyrję, Egipt i Persję. Oprócz powyższych państw uważa za potęgi wschodnie: żydostwo, chrześcijaństwo, Bizancjum i Islam.

W rozdziale opisującym strefę śródziemnomorską zajmuje się Erbt Grecją, Rzymem oraz państwem papieskiem, pojętem jako zespołem katolickiego średniowiecza. Za twory zachodnie uważa autor państwo światowe Habsburgów, oraz państwa światowe Francuzów, Anglo-Sasów i Rosjan.

Dla historji niemieckiej, pojętej jako historji germańskiego rdzenia czy też centrum, wynajduje autor pojęcie kręgu cywilzacyjnego, który nazywa kręgem północnym (*Das Nordland*). Wiąże się z tem suggestja, wprawdzie niewypowiedziana ale wynikająca z układu materjału, jakoby Niemcy nie były „*Pfropfvolk*" ale czemś pierwotnem, czemś, co może owocować i stanowić zaczyn nowych możliwości politycznych. Tymczasem, trzeba to wyraźnie podkreślić, Niemcy w tym względzie niczem się od innych europejskich narodów nie różnią. Powstały one tak samo z najazdu na terytorja celtycko-romańskie oraz słowiańskie jak inne współczesne narody europejskie.

Nie mam tu możności dokładniejszego omówienia poszczególnych rozdziałów, choć byłoby to bardzo ciekawe. Wspomnę tylko o zastosoweniu schematu Erbta do Rzymu, aby dać czytelnikowi ilustrację postępowania autora. Twierdzi on tedy, że rzymski okres wczesny przypada na lata 753 — 510 przed Chrystusem, okres zaś pełnego rozwoju na lata 510 — 133 przed Chrystusem. Po tych dwu okresach następuje późny okres rozwoju Rzymu, będący już w zasadzie okresem rozkładu. W okresie tym występują na widownie cezarowie, którzy próbują zahamować rozkład ale im się to nie udaje.

Jeśli mowa o kręgu północnym, to wedle Erbta miał on nie jeden ale dwa okresy młodzieńczości, okresy wczesne swej historji. Jeden to okres około 750 roku przed Chrystusem, kiedy zamiast bronzu zaczęto używać żelaza i kiedy to północ germańska stale i systematycznie wyrzucała nadmiar swej ludności na kontynent. Drugi okres to wystąpienie Lutra, który podjął próbę odnalezienia germańskiej północy w samej sobie i odnalezienia ducha tej północy, uciemiężonego przez Kościół katolicki.

Trzy razy próbowały się szczepy germańskie zorganizować państwowo. Pierwsze zjednoczenie nastąpiło w ramach papieskiego Kościoła. Doszło ono do skutku przy pomocy obcych rasie środków. Cesarz niemiecki na skutek tego stał się przeciwwagą śródziemnomorskiego stylu życia, reprezentowanego przez Kościół. Dlatego próba skończyła się wtedy, kiedy Niemcy, obudzili się „sami dla siebie" w reformacji. Kościół katolicki jednak nie dał za wygraną. Zjednoczone w Kościele siły rasowe śródziemnomorskie i przednioazjatyckie stanęły do walki o duszę północy. Na skutek tego nie mógł Bismark stworzyć państwa z natury swej północnego. Państwo jego

było państwem stylu zachodnio-europejskiego. Dopiero obecnie, w czasie niemieckiej rewolucji narodowej Niemcy odgrodziły się na zawsze od obcych zachodnio-europejskich sił. Jakkolwiek poniosła północ bezsprzecznie wielkie straty, to jednak ma z czem zaczynać budowę na nowo.

Patrząc na książkę krytycznie, dochodzi się do wniosku, że cała książka została napisana poto, aby można było napisać ostatni rozdział o kręgu północnym. Jest to historjozoficzna próba uzasadnienia propagandy za państwem pannordycznem, o którem już pisałem na innych miejscach. Charakterystyczne dla tej próby jest identyfikowanie Niemiec z Germanami oraz suggestja o większej czystości rasowej Niemiec w porównaniu z innemi narodami Europy.

Gdybyśmy jednak schemat Erbta ściśle zastosowali do Niemiec, doszlibyśmy do bardzo ciekawych wniosków. Najpierw musielibyśmy stwierdzić, co już podkreśliłem, że Niemcy są tak samo narodem pochodzącym z mieszaniny etniczno-rasowej jak i inne narody w Europie. Różnią się od niektórych z nich tylko tem, że u Niemców nie wyginął względnie nie wynarodowił się germański pierwiastek najezdniczy. W takim zaś razie Niemcy znajdowałyby się dziś już w późnym okresie swego rozwoju *(Spätzeit)*. Wskazywałoby na to sporo objawów życia niemieckiego. Wspomnimy na tem miejscu tylko objawy niemieckiego rozkładu moralnego sprzed rewolucji hitlerowskiej oraz cezaryzm Hitlera. W pewnym sensie także doktryna nordyczna byłaby przejawem tego rozkładu. Doktryna ta, głosząc oparcie się na rasie nordycznej, może w pewnych warunkach doprowadzić do rezygnacji niemieckiej z dorobku drugiego i pierwszego cesarstwa.

Inne jeszcze myśli nasuwają się przy lekturze książki Erbta. Wskazuje ona niedwuznacznie na fakt konsolidacji nowej jednostki cywilizacyjnej w Europie, którą Erbt nazwał „kręgiem północnym". Dziś, po rewolucji hitlerowskiej, śmiało można zaryzykować twierdzenie, że nastąpił koniec Europy jako jednolitego terytorjum cywilizacyjnego. Z jedności tej wyłamały się Niemcy hitlerowskie i Rosja sowiecka. Polska, położona pomiędzy obu nowemi kręgami cywilizacyjnemi, narażona jest tedy nietylko na niebezpieczeństwa wypływające z tego stanu rzeczy, ale stoi też przed wielkiemi perspektywami. Jeśli bowiem kto ma w czasie takich przeobrażeń cywilizacyjnych wiedzę, wolę i siłę, ten może dużo zrobić nietylko dla siebie ale też dla cywilizacji. Polska ma możliwości zorganizowania swojej własnej wielkiej cywilizacji.

KAROL STOJANOWSKI

UWAGI DO „WIEJSKICH PROBLEMÓW"

(Dokończenie)

V

ZBLIŻAMY SIĘ ostatecznie do ustalenia kapitalnej zasady — charakteru naszej wsi: dworska, czy chłopska?

Mamy przed sobą tezę, że zagadnienie wsi to przedewszystkiem sprawa jej kierownictwa, a więc tak czy owak dworu — bo jest to nic innego, jak odpowiedź na pytanie, czy dwór potrafi dalej wsią kierować, czy też wieś będzie musiała wytworzyć sama jakieś nowe ośrodki kierownicze — konkluduje p. Frycz. Tezę swą uzasadnia faktem, że chłop zawsze będzie tylko źródłem sił narodowych, ale źródłem biernem, wymagającem kierownictwa i opieki.

Rozróżnienie wsi dworskiej od chłopskiej należy uznać za słuszne, nietrafne jednak jest ujęcie zagadnienia w tej postaci, że wieś chłopska wymaga kierownictwa i opieki, a te dać może tylko dwór, więc zagadnienie wsi „tak czy owak" to przedewszystkiem zagadnienie dworu, stąd autor nad nim tylko się zastanawia, o wsi chłopskiej chce mówić tylko „o tyle, o ile ona jest widoczna z dworu i z dworem związana". Szkoda, że tylko z tej strony i tylko warunkowo, bo spojrzenie na wieś z dworu — najpierw, że daje obraz fałszywy, a powtóre i niepełny, gdyż pozostaje poza polem widzenia właśnie ta wieś, która z dworem nie jest niczem związana, a więc wieś chłopska.

Wieś, widziana z dworu, to rzecz już nam znana: *vulgus profanum* z pełnem obciążeniem dziedzicznem tej pozycji społecznej, jaką zajmował w dziejach, upostaciowanem przez autora z całą wyrazistością w kontraście do „pańskiej krwi". Pojęty w znaczeniu dodatniem, jako środek do celu nadrzędnego, wymaga narówni z małoletnim kierownictwa i opieki, rozumie się — z natury rzeczy — dworskiej.

Tymczasem wieś, przeoczona przez dwór, to zgoła odmienny obraz. Przedstawia się ona jako potężna wspólnota, wytworzona przez długotrwałe współżycie sąsiedzkie, o swoistej wewnętrznej strukturze socjalnej, o własnej hierarchji chłopskiej, o pełnej swej osobowości psychicznej, a przez organizację samorządową — mikrokosmos państwa. Taka gromada chłopska ma swój zakres działania w sprawach ogólnych, swoją politykę wewnętrzną i zewnętrzną, kierowaną wyłącznie przez autorytety chłopskie, nie przypadkowe, narzucone zzewnątrz, lecz rodzime, wyrosłe z gromadzkiego podglebia. Lipce poruszone są do żywego cięciem boru przez dwór. Chłopi się zbierają, burzą, starszyzna radzi, wreszcie hasło — na las! „Tłum wciąż się zwiększał... każden stawał, gdzie popadło, obzierał się naokół i czekał cierpliwie na starszyznę, która poszła po Borynę. Pierwszy był ano we wsi, to jemu się należało naród poprowadzić, bez niego żaden gospodarzby się nie ruszył. Stojali więc cierzpliwie, a cicho, kiej ten bór zbity w gęstwę..."

Całą duchową stroną swego życia wieś chłopska opiera się o Kościół. Nietylko że nie przechodzi spóźnionego procesu emocjonowania się przeżytemi ideałami wieku oświecenia, ale wątpić należy, czy choćby echa ich do niej dobiegają. Nie można też dzielić wsi chłopskiej religijnie, co do wiary, na młodszą i starszą generację, bo objawy, jakie trafnie zauważył p. Frycz, młodzież

chłopska stale wykazuje, ale one nie są wyrazem braku wiary, lecz nieokiełznanego jeszcze temperamentu młodzieńczego. Wieś cała, bez wyjątku, przywiązana jest do swego kościoła i ten dotąd nie przestał być dla niej ośrodkiem, i to jedynym, prawdziwej kultury. Elementy niewierzące trzeba zaliczyć do odpadków wiejskich, bo szanujący się gospodarz, który jawnie wystąpiłby przeciw religji, należy chyba do białych kruków.

Na tle tak zarysowanego życia religijnego występuje postać księdza „chłopskiego". Że rozporządza on w swoim zakresie działania autorytetem, to jest poza sporem dla mnie. Chodzi tylko o to, czy ten autorytet potrafi on rozciągnąć na sprawy pozakościelne. Oczywiście — to już kwestja jego talentu, właściwości charakteru, a przedewszystkiem — jego świątobliwości, która bezwzględnie podbija serca gromady. Wieś chłopska chętnie zasięga rady „dobrodzieja", ale w sprawach żywotnych idzie swoją drogą, na którą kieruje ją konieczność życiowa i poczucie słuszności. Jeśli „dobrodziej" nie ma w tej sytuacji wyczucia i odczucia i rzuci swój autorytet przeciwko wsi, to straci go i nieprędko go odbuduje. „...Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach. Szczęść Boże w robocie! Boże zapłać, dziękujemy! — odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego. Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? — mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn. Brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać". Ale ten sam dobrodziej kochany w walce o chłopski bór stanął po stronie dworu, mocno uraził chłopskie poczucie sprawiedliwości. Tłum czekał na Borynę, aby ruszyć na las: „Aż wkońcu i ksiądz przyleciał i jął swoje prawić — nie usłuchali, stali nieporuszeni, nikt czapki nawet nie zdjął, nikto go w rękę nie pocałował".

Wieś dworska i wieś chłopska, jakby dwie potęgi, utrzymują swe wzajemne stosunki w stanie możliwie trwałego pokoju, w czasie którego konieczne są arbitraże, układy, zabiegi dyplomatyczne, bo przecież do drobnych zatargów okazyj jest coniemiara: — „Ciasno jest wszystkim kiej w tej sieci, bo dwory wszędzie, ze wszystkich stron kiej te ściany ściskają wieś i duszą, chcesz krowę popaść za wsią — w dworskie wnet utkniesz; konia wypuścisz — dworskie za miedzą; kamieniem ciepnąć nie można, bo w dworskie padnie... a zaraz zajmą, zaraz sądy, zaraz sztrafy!"

W tej sztuce dyplomatycznej dwór ma całkowitą przewagę, co wieś chłopska doskonale czuje i rozumie, stąd jej nieufność, bojaźń, a nawet strach przed tym nieznanym jej orężem dworskim. Dwór rozporządza we wsi chłopskiej całym wywiadem, zabiega o sprzymierzeńców, zdobywa ich czapką, papką i solą, ale ich ma na swe usługi. Chłopi czują przez skórę, że tak jest, palcem sobie wskazują „pańskie uszy", ale zachowują się „politycznie", użytku jawnego z tego nie robią, dopóki za rękę takiego nikt nie złapał, mają się tylko na baczności i podejrzanym żadnej wiary nie dają. „Kowal przyleciał, przeciskał się wskroś gęstwy i zaczął naród odwodzić, straszyć, że za to, co zamyślają, cała wieś pójdzie w kajdany i zmarnieje, a za nim młynarz powtarzał to samo, ale nikto nie zważał na nich ni słuchał — wiedziano bowiem dobrze, że obaj dworowi się wysługują i swój mają interes w przeszkadzaniu" („Chłopi"). Temu „zdradliwemu" orężowi dworskiemu wieś chłopska przeciwstawić może jedną tylko broń: manifestację jednomyślnej woli całej gromady i poparcie swego dobrodzieja kochanego.

W takim układzie stosunków „międzynarodowych", w takiej sytuacji politycznej dwu potęg wiejskich pozycja i rola dobrodzieja urasta do miary Watykanu: jako pasterz obu stron, staje się dobroczynnym rozjemcą w sporze, a często i najwyższym sędzią. Jako taki, przedstawia osobną potęgę moralną, którą ma rozporządzać i oddawać na usługi litylko sprawiedliwości i słuszności. Rola trudna i niebezpieczna, ale jakżeż zaszczytna i błogosławiona! Rola trudna, bo wogóle rozstrzygać spory niezawsze jest rzeczą łatwą, rola niebezpieczna, gdyż dwór tę pozycję w swojej grze dyplomatycznej więcej docenia, aniżeli wieś i nietylko potrafi uzyskać poprzez stosunki towarzyskie — pośrednictwo i dobre usługi jego, ale zręcznie paraliżować akcję duszpasterską, o ile ta godzi w interesy dworu; przecież dochodziło nawet do tego, że księżom przeszkadzano nakłaniać lud z ambony do trzeźwości, ażeby uszczerbu nie doznała dająca dochody karczma. (R. Dmowski: „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce"). Dlatego ksiądz, udzielając swego pośrednictwa i dobrych usług, musi mieć się na baczności, aby z rozjemcy nie stać się przez nieoględność ambasadorem jednej ze stron; wtedy właściwa jego rola byłaby skończona.

Nie można lekceważyć znaczenia nauczyciela wiejskiego, ale też i niema podstawy do uznania w nim autorytetu. Pozycja jego jest zbliżona do roli księdza w zakresie wychowawczym, więc współdziałanie nasuwa się samo przez się; jeżeli jest inaczej, to stało się to w głównej mierze skutkiem wyłączenia go poza nawias towarzyskich stosunków dworsko - plebańskich; wyobcowany przeważnie nie znalazł w sobie tyle mocy ducha, aby być wyższym ponad tę małostkowość, lecz uczynił z niej rzecz główną, szukając oparcia dla odwetu w siłach wrogich tamtym, przez co sam stał się małym. Ze zmianą jednak tych stosunków zniknie i ten dziś przeważający typ nauczyciela wiejskiego.

*

Tak w mojem spojrzeniu przedstawia się zagadnienie autorytetów na wsi i znaczenie „pańskiej krwi" w układzie jej stosunków. Od tak ustalonej zasady zachodzą oczywiście wyjątki, ale one w niczem nie mogą naruszyć samej zasady. Sprawę wsi trzeba nawet sprowadzić „tak czy owak" do zagadnienia dworu, jednak nie w rozumieniu pytania „czy dwór potrafi dalej wsią kierować", lecz w sensie głębokiej troski o los ziemi dworskiej, bo wtedy stoimy przed wielkiej wagi zagadnieniem narodowem.

Nie jestem publicystą i sztuka ta jest dla mnie obca. Jeśli chwyciłem za pióro, to jedynie z poczucia obowiązku zachowania chłopskiej krwi dla narodu, bo nakazem etosu narodowego jest: „Nic nie spychać nigdy wdół, lecz do coraz wyższych kół iść przez drugich podnoszenie. Tak Bóg czyni we wszechświecie, bo cel światów — szlachetnienie".

JÓZEF STARYSZAK

LUDZIE CZY BOGOWIE?

PRZEDWIOŚNIE... W słoneczny, marcowy poranek wybrałem się na pierwszą w tym roku przechadzkę do Łazienek. Niestety, park był zamknięty z powodu roztopów. Aby się pocieszyć, odczytałem sobie po powrocie do domu rozprawę Wacława Borowego p. t. „Łazienki a „Noc Listopadowa" Wyspiańskiego", ogłoszoną niegdyś w wydawnictwach Towarzystwa Miłośników Historji w Warszawie, a dwa lata temu przedrukowaną w książce p. t. „Dziś i wczoraj", (nakład „Roju"), która dopiero teraz trafiła do rąk moich. W przypisach do owej bardzo interesującej rozprawy wyczytałem zdanie następujące:

„Niektórzy krytycy mylnie do bóstw zaliczyli i Satyrów ze sceny teatralnej, którzy są przecie, wedle wyraźnej informacji tekstu, aktorami z mającego się odegrać baletu."

Zmartwiłem się. „Noc listopadowa" należy do najbardziej przezemnie ulubionych utworów literackich. Znam ją od dzieciństwa, bodajże od pierwszej klasy gimnazjalnej. Przez trzydzieści lat z okładem przywykłem uważać Satyrów ze sceny baletowej za bóstwa, a tu nagle okazuje się że nie miałem racji, że pogląd mój był mylny, że Satyry są tylko baletnikami i niczem więcej. Stwierdził to nie byle kto, lecz sam Wacław Borowy, znakomity uczony i jeden z najwytrawniejszych w dzisiejszej Polsce krytyków. Ukorzywszy się tedy przed jego autorytetem, sięgnąłem po zawierający „Noc listopadową" piąty tom dzieł Wyspiańskiego w opracowaniu Chmiela i Sinki (Instytut wydawniczy „Bibljoteka Polska") i spróbowałem mój pogląd dotychczasowy na Satyrów z Teatru Rozmaitości zrewidować, przyjrzeć się im pod tym kątem widzenia, pod którym na nich patrzy szanowny autor zacytowanego wyżej przypisku.

Pierwszą wzmiankę o Satyrach znajduję w pierwszej scenie. Nike Napoleonidów w Łazienkach, w korytarzu Szkoły Podchorążych zapytuje, gdzie jest Chłopicki. Odpowiada

Pallas: Satyry
bawią go śpiewem i grą
na teatrze.

Nike Napoleonidów: Satyrom skruszę liry,
przy nim stanę i w oczy popatrzę.
i krzyknę: w mieście bój!

Według profesora Borowego słowa Pallady należałoby rozumieć: Baletnicy przebrani za Satyrów bawią Chłopickiego śpiewem i grą na teatrze. Słowa zaś Niki: Baletnikom przebranym za Satyrów skruszę liry.

Uśmiechnąłem się mimowoli. Ubawiła mnie myśl, że obie boskie damy w tak poważnym momencie deklamują tak patetycznie o... kostjumach baletników. Nawet radząc o rewolucji, na chwilę przed jej wybuchem, nie zapominają o kwestjach... toaletowych. Oj te kobietki!

Szukam następnie „wyraźnej informacji tekstu", na której podstawie prof. Borowy odsądza Satyrów Wyspiańskiego od boskości. Znajduję ów tekst na samym początku sceny piątej. Oto on:

TEATR ROZMAITOŚCI

Scena teatrzyku. Tyły dekoracji, głębiej kurtyna, zapuszczona. Satyry z mającego się odegrać baletu zajęte przytwierdzaniem i umocowywaniem kulis. Aktorzy w kostjumach, w rolach zapowiedzianego wodewilu.

Wyspiański odróżnia w tej informacji „Satyrów z mającego się odegrać baletu" od „aktorów z zapowiedzianego wodewilu". P. Borowy nazywa Satyrów „aktorami z mającego się odegrać baletu". Wyrażenie „aktor z mającego się odegrać baletu" znaczy tyleż co baletnik. Ale wyrażenie „Satyr z mającego się odegrać baletu" wprawdzie może, ale niekoniecznie musi oznaczać człowieka-baletnika. Może oznaczać również co innego. Naprzykład satyra-boga, który jest równocześnie baletnikiem, albo satyra — baletową postać fantastyczną. Czytamy w rozprawie p. Borowego:

„Obmyślił też Wyspiański jeden jeszcze, całkowicie oryginalny środek: jął wprowadzać do swych dzieł obok personelu realnego osobliwy personel fantastyczny: postaci z posągów, obrazów, z tradycji literackiej i religijno-mistycznej. Kazał mówić i działać figurom z grobowców i gobelinów wawelskich, sprowadził z obrazu na deski sceniczne matejkowskiego Wernyhorę, wywołał z ballad Mickiewicza— Świtezianki".

Wyrażenie zatem „Satyr z baletu" może oznaczać poprostu ucieleśnionego ducha baletowej roli, postać z baletu, w podobnem znaczeniu w jakiem mówimy: postać z tragedji, postać z dramatu, postać z komedji, postać z opery.

Ale nie zamierzam wcale dowodzić, że Satyry te to ucieleśnione duchy baletowe. Nie wierzę w to. Bynajmniej również nie idzie mi w tej chwili o stwierdzenie, że Wyspiański swoich Satyrów nie uczynił baletnikami (stwierdzę to później). Gdyby nawet bowiem byli baletnikami, fakt ten jeszcze nie świadczyłby wcale o ich nieboskości. Apollo był przecież artystą, co mu zgoła nie przeszkadzało być równocześnie bogiem. Grywał na multankach Pan, co mu również bogiem być nie przeszkadzało. Czemuż by (pytanie czysto teoretyczne) nie mieli być tancerzami jego dalecy warszawscy kuzynowie? W tej chwili jednak idzie mi o zupełnie co innego, mianowicie o stwierdzenie, iż rzekomo „wyraźna informacja tekstu" nie jest wcale tak znowu wyraźna. Że daje się interpretować rozmaicie.

Zwróćmy teraz uwagę na jeden ważny szczegół tej informacji. Na to mianowicie, że „Satyry z mającego się odegrać baletu" są „zajęte przytwierdzaniem i umocowywaniem kulis". Każdy człowiek jako tako z teatrem otrzaskany wie, iż czynność ustawiania dekoracji nie należy bynajmniej do baletników, lecz do tak zwanych maszynistów i do ich pomocników. Rzecz się dzieje nie w jakiejś wędrownej trupie, na prowincji, podczas gościnnych występów, gdzieby spełnianie zastępcze funkcyj maszynistów przez członków *corps de balet* było rzeczą naturalną, lecz w stałym teatrze stołecznym. Już tedy z owej informacji, na którą się powołuje p. Borowy, wynika, że Satyry nie

są baletnikami zwyczajnymi, że się wtrącają do czynności nieswoich, że się w teatrze szarogęszą.

Po zapowiedzeniu wodewilu ze śpiewami, z Kudliczem w roli Mefista, przez aktora-reżysera i po odegraniu przez aktorów wodewilistów pantominy, w której występują Faust, Mefisto i Venus-Helena, dwa Satyry taką toczą rozmowę:

1 Satyr: (*zza kulis wskazując publiczność*).
O czem ci myślą?
2 Satyr: Co innego,
nie to, co się na scenie gra.
1 Satyr: Trzeba im zagrać co nowego,
wytrzeszczą ślipie.
2 Satyr: Cha, cha, cha.
1 Satyr: Ja będę niby Wielki Książe,
ty będziesz Grek, zausznik mój.
2 Satyr: (*podaje frak*) Frak!
1 Satyr: (*kładzie frak*) Szarfę niech mi kto zawiąże!
2 Satyr: (*chichocze*).
1 Satyr: Małczaj! Stój!

(*przyczaili się za kulisami*).

Dziwni to zaiste baletnicy, którzy nietylko — jak widzieliśmy wyżej—wtrącają się do czynności maszynistów, ale w dodatku zastanawiają się nad myślami publiczności i postanawiają na własną rękę, nie pytając wcale o pozwolenie reżysera, zastąpić swój „numer taneczny" (tak się to — o ile się nie mylę—w języku fachowym nazywa) zaimprowizowanem na poczekaniu interludjum, czemś w rodzaju—mówiąc po dzisiejszemu *sketch*'u politycznego. Dziwna jest przytem (wprost „niesamowicie" dziwna) szybkość, z jaką Satyry zdobywają potrzebny im do tego *sketch*'u kostjum (frak) i rekwizyt (szarfę). Ledwie pierwszy Satyr rzucił myśl zaimprowizowania interludjum, już mu drugi Satyr frak i szarfę podał. Bez uprzedniego porozumienia się z kostjumerem i rekwizytorem. Oczywiście przedmioty te, owego wieczoru w wodewilu p.t. „Faust i Małgorzata" „nie grające" (przepraszam za żargon teatralny) mogły przypadkiem nie spoczywać w magazynach, lecz walać się gdzieś w garderobie tuż za kulisami. W każdym razie przypadek ów jest dziwny. Inaczej znowu dziwny jest fakt, że baletnik, przebrany według pana Borowego za Satyra, nie rozbiera się z tego kostjumu przed przebraniem się w generalski mundur, ale wdziewa ów mundur na rzekomy kostjum Satyra.

Po djalogu Fausta z Małgorzatą kurtyna powinna była zapaść. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie zapadła. Na środek sceny, tuż po zejściu z niej aktorów-wodewilistów, wkraczają ponownie Satyry, i po przygrywce orkiestry odgrywają pierwszą część interludjum:

1 Satyr: (*udaje W. Księcia*).
Cóż o mnie mówią polskie dziewki?
lubieżny w oczach mają błysk.
2 Satyr: (*udaje adjutanta Kurutę*).
Śpiewają sobie różne śpiewki,
Że Książę masz kałmucki pysk.
1 Satyr: Cóż o mnie mówią te Polaki?
Szczekaj, bo masz przemyślny łeb.
2 Satyr: Że Wielki Książe taki, siaki.
1 Satyr: Jaki?
2 Satyr: Że Wielki Książe kiep.
1 Satyr: Któż to powiedział.
2 Satyr: Nie pamiętam.
1 Satyr: Zasługi order złoty dam.
2 Satyr: (*wskazuje na publiczność*).
Spójrz Wasza Miłość, fotel,—ten tam.
1 Satyr: Chłopicki!
2 Satyr: Właśnie on to sam.
Publiczność: (*powstaje z miejsc zaciekawiona*)

(*Zapada kurtyna z gazy, przesłaniając widownię*)
(*Na scenie odbywa się zmiana dekoracji*)
(Satyry *zmykają za kulisy*)
(*Przygrywka antraktowa*).

Coraz bardziej zadziwiają nas ci baletnicy. Nadewszystko tem, że ani myślą tańczyć. Wolą bawić publiczność dowcipami przypominającemi znane nam z anegdot kawały genjalnego Żółkowskiego. Jest to tem dziwniejsze, że artyści baletu nie cieszą się naogół opinją ludzi dowcipnych.

Ale dziwność baletników nie dowodzi jeszcze ich boskości. Dowód na to, że Satyry owe są prawdziwymi satyrami, nie zaś przebranymi ludźmi, znajdujemy dopiero w ustępie następującym bezpośrednio po przytoczonym wyżej djalogu. Na scenę wpada

Aktor: (*zirytowany biega po scenie*).
Kurtyna przecież miała zapaść
natychmiast skoro odszedł Faust!
Gdzież chłop, co tu przy korbie stał?!
1 Satyr: Widzisz, spostrzegli naszą napaść.
Aktor: Zdawało mi się, że ktoś grał.
1 Satyr: Zdawało mu się!
2 Satyr: Głupi gap!
1 Satyr: Nie poznał moich koźlich łap.

Okazuje się, że ktoś zeskamotował w naszych oczach „chłopa, co przy korbie stał", maszynistę, którego obowiązkiem jest podnoszenie i zapuszczanie kurtyny, a myśmy wcale tego nie zauważyli, choć patrzyliśmy na kurtynę od strony kulis. Ej, czy przypadkiem Satyry owego chłopa nie odurzyły i nie wyręczyły? Kryje się w tem stanowczo coś nieczystego. Czy nie odurzyły przypadkiem także dyrygenta i członków orkiestry, która zagrała przygrywkę przed djalogiem Satyra-Wielkiego Księcia z Satyrem-Kurutą? Tego napewno twierdzić nie możemy. Być może była to tylko zwyczajna przygrywka antraktowa, taka sama, jaką orkiestra gra po owym djalogu. Ale przymiotnika „antraktowa" przy pierwszej przygrywce Wyspiański nie dodał. Być może zatem była to przygrywka specjalna. Podejrzewam, iż zgodnie z intencją autorską postępują ci inscenizatorzy, którzy batutę dyrygenta orkiestry powierzają również przebranemu, zdaniem pana Borowego, w kostjum Satyra „aktorowi z baletu". Wiersz: „Widzisz, spostrzegli naszą napaść", zalatuje djabelskim zapachem z trzeciej części „Dziadów". Wiersz „Nie poznał moich koźlich łap" jest dla tych krytyków, którym p. Borowy zarzuca w swoim przypisku mylność sądu—niewątpliwym dowodem boskości Satyrów. Boskości mocno djabelskiej, ale przecież i tradycja chrześcijańska bóstwa pogańskie często z djabłami utożsamia.

Aż do tego miejsca usiłowałem czytać piątą scenę „Nocy listopadowej" przez okulary profesora Borowego. Ale po rozmowie Satyrów z Aktorem-reżyserem muszę te okulary stanowczo odrzucić. Są to bowiem, niestety, okulary akurat takie same, jakie ma na nosie właśnie ów nie poznający koźlich łap jegomość. Gdybym się przy noszeniu tych szkieł upierał, naraziłbym się niewąt-

pliwie na kpiny Satyrów, które posiadają ostre języki.

Przed drugą częścią swego politycznego interludjum (pantominą, przedstawiającą zajście na Saskim Placu) rogaci i ukopyceni bogowie przedostają się na salę widzów. Jeden z nich staje za krzesłem Chłopickiego i opowiada zajście. Poczem, na scenie, Satyr przebrany za Wielkiego Księcia, spostrzega, że jeden ze statystów, którzy utworzyli szpaler dla mającego tańczyć baletu, jest w kasku żołnierza polskiego. Oczywiście w kasku wykradzionym przez drugiego Satyra potajemnie z rekwizytorni. Pierwszy Satyr wygraża statyście pięściami, zdziera mu szlify, rzuca je na ziemię, depce nogami. Pojawia się na scenie drugi Satyr w płaszczu wielkim i cylindrze, ubrany i upozowany *à la* Chłopicki, i chrząka. Satyr udający Wielkiego Księcia na to chrząknięcie zmyka ze sceny. Publiczność wybucha śmiechem.

1 Satyr: *(za kulisami).* Kurtyna!
Aktor: *(za kulisami).* Co to?
Publiczność: Forra! Forra!!
(zapada kurtyna z gazy, przesłaniając widownię).
(muzyka antraktowa).
Aktor: *(wpada na scenę zły).*
Kto się tu rządzi?
1 Satyr: *(za kulisami).* To był zwid!!
Publiczność: *(za kurtyną, na widowni).* Brawo.
1 Satyr: *(wchodzi na środek sceny triumfujący).*
Publiczność woła.
Publiczność: Forra!
Aktor: *(zrozpaczony).* Teatr nam zamknął!
Satyr: *(przedrzeźniając).* A to wstyd!
Aktor: *(do Satyrów).* Przecież wy mieliście tańcować!!
1 Satyr: *(dumnie).* Ja nie należę do twych sług.
2 Satyr: *(w śmiechu).* Chcesz, możesz nas zaangażować!?
Aktor: Któż wy jesteście?!
1 Satyr: Jestem Bóg!
Gram tak, jak mi się to podoba!
Aktor: Znajdziesz się za to w kozie, kpie!
Satyr: Ja jestem, widzisz, ta osoba,
co ludźmi bawi się.

A więc Satyry, jak się okazuje, nie są wcale baletnikami. Udawały tylko baletników, ale nie były zaangażowane. Zeskamotowały baletników prawdziwych, tak jak zeskamotowały „chłopa“ od kurtyny. Aktor-reżyser bierze je za baletników przez pomyłkę. Nawet po zacytowanej wyżej rozmowie aktor ów, dziwnie zaślepiony, w boskość Satyrów nie uwierzył. Puszcza wyraźnie oświadczenie pierwszego Satyra: „jestem Bóg“— mimo uszu, mniemając zapewne, że baletnicy biorą go na kawał i zaczyna się krzątać około przygotowań do następnej odsłony wodewilu, która rozgrywa się w piwnicy Auerbacha.

Zamaskowane satyry, siedząc pośród beczek, piją wino pospołu ze studentami i śpiewają piosenkę. Piosenka owa do goetheańskich, faustowskich pierwiastków wodewilu dodaje motywy kordjaniczne.

Warto w tem miejscu przypomnieć, że w rękopisie drugim „Nocy listopadowej”, podczas gdy na scenie Teatru Rozmaitości rozgrywała się odsłona w piwnicy Aauerbacha, jeden z Satyrów na sali widzów, między publicznością, tak przemawiał do obecnego na przedstawieniu Słowackiego:

Koniecznie musisz wleźć na górę,
wdrapać się na najwyższy szczyt,
byś poznał duszy twej strukturę,
i zyskał boskiej wiedzy spryt.

Posąg człowieka, ty na globie
uderzysz czołem w chmurny strop
a wtedy oddam pokłon tobie
i wskażę przepaść, — no skocz, — hop!

Jeżeli skoczysz, dam koronę.
Uczynię królem - duchem — słysz.
Chcesz władać Polską? Na stracone!
Musisz iść duchem ciągle wzwyż.

Polaki są niedoścignione
Twój rywal zwie się „Kysz a Kysz.”

Szanowny panie profesorze! Czyż tak może przemawiać zwyczajny „aktor z baletu?”

Satyr wiedzący w listopadzie 1830 roku, że Słowacki wdrapie się (w imaginacji) na szczyt Montblanc'u, satyr znający już wyrażenia z nienapisanego jeszcze „Kordjana,” a raczej inspirujący właśnie ów dramat Słowackiemu, satyr kuszący poetę iście po szatańsku nadzieją korony Króla-ducha nie jest stanowczo człowiekiem.

Satyr ten jest niewątpliwie istotą nadnaturalną, bogiem prawdziwym. W oczach naszych chrześcijańskich, uchodzić on może rzecz prosta za djabła, jak uchodził za djabła święty Satyr Anatola France'a, dopóki się nie ochrzcił i nie wstąpił do zakonu.

W następującym po scenie w piwnicy Auerbacha antrakcie wodewilu, aktor — reżyser po raz trzeci robi awanturę rzekomym baletnikom:

Aktor: Ja nie pojmuję co się dzieje
Ja panom każę strącić „feu”.
1 Satyr: Pojmiesz nas jutro, gdy zadnieje,
2 Satyr: Pisz na Berdyczów — znajdziesz mnie!
Aktor: *(do sług teatralnych)* Proszę tych panów wziąć na oko,
niechaj mi tu nie kręcą się
3 Satyr: *(tupnął nogą w zapadnię)*
(dając znak aby otworzono)
1 Satyr W tej chwili wpadniesz tam głęboko,
gdzie twój Mefisto skrywa się.
Aktor *(zapada się na zapadnicy)*
(na którą nieopatrznie nastąpił).

Słusznie, jako żywo, został ukarany za swoje niedowiarstwo, za uporczywe — aż do samego końca roli — traktowanie bogów jak „aktorów z baletu”. Niedowiarstwo i zaślepienie aktora—reżysera było znacznie lżejszym grzechem, niż niedowiarstwo pana Borowego. Aktor — reżyser w wieczór 29 listopada 1830 nie mógł oczywiście znać ani tekstu, ani odmian tekstu „Nocy listopadowej” napisanej w roku 1904. Ale pan Wacław Borowy, przedrukowując swoją rozprawę łazienkowską w książce pt. „Dziś i wczoraj” (w roku 1934), powinien był swój przypisek skonfrontować z przemówieniem Satyra do Słowackiego. Przemówienie to łatwo odszukać na stronicy 557 piątego tomu wydania Sinki i Chmiela z roku 1929.

A teraz czemprędzej do Łazienek. Może już podeschło.

STEFAN GODLEWSKI

NA WIDOWNI

Nowa książka Juljana Wołoszynowskiego. — Rzecz potrzebna, ale wykonana nieszczęśliwie. — Usterki stylu. — Niedokładności historyczne. — „24 obrazki" z „kroniką skandalów". — *Signum temporis.*

PAN Juljan Wołoszynowski jest niezaprzeczenie pisarzem o niemałym talencie. Jego wiersze i proza, jednako melodyjne, potrafią budzić w czytelniku nastrój, przenosić go w swoistą, poetycką atmosferę, — jego krytyki teatralne świadczą niejednokrotnie o prawdziwej wrażliwości artystycznej i trafności w formułowaniu ocen i sądów. Także jego upodobanie w tematach historycznych wywoływać powinno sympatję, zwłaszcza obecnie, gdy coraz wyraźniej poczynamy uświadamiać sobie konieczność ściślejszych związków, bardziej zażyłego obcowania duchowego ze spuścizną narodowej przeszłości.

Ze szczerego serca też pragnąłbym obsypać komplementami najnowszy utwór p. Wołoszynowskiego p. t. „Było tak", w której to książce autor postanowił, w szeregu impresyj i obrazów, dać nam niejako wizję dziejów Polski, od zarania ich po dzień dzisiejszy [1]). Jakże potrzebna jest wizja taka, dzieło intuicji i twórczego wzruszenia, dla której ukazania nie wystarczy pedantyczna wiedza historyka, jakże niezbędne takie świeże spojrzenie na wieki minione — właśnie teraz, gdy nowe czasy nakazują odrzucenie tylu fałszywych poglądów, wytworzonych w nienormalnych, chorobliwych warunkach doby upadku i niewoli!

Niestety, mimo całej życzliwości dla przedsięwzięcia, należy stwierdzić zupełne niepowodzenie podjętej próby. Poślizgnięcie się pisarza z talentem może być — w pewnych wypadkach — przemilczane przez krytykę, uznanie dla twórcy może zalecać nie kładzenie nacisku na usterki jednego dzieła, gdy wszakże chodzi o zagadnienie stosunku narodu do swej przeszłości, ważność tematu każę zapomnieć o jakichkolwiek wahaniach i względach. Rzecz jest zbyt serjo, musi się ostrzec i czytelników i samego autora, zwłaszcza że błędy p. Wołoszynowskiego stąd się przedewszystkiem wywodzą, iż on sam właśnie w sposób niedość poważny, niedość odpowiedzialny odniósł się do zadania, które sobie postawił.

Wykonał je niestarannie, nawet pod względem stylistycznym i językowym. Oto przykład, jeden spośród wielu, nieporadności w budowaniu zdań — urywek z rozmowy Batorego z Janem Zamoyskim:

— „Trzeba skończyć bajkę o polskiej nieumiejętności rządzenia się u siebie, wykrzesać iskry z tych p o d k ó w, które są i ciężkie, i silne i z a n i m u s z e m u m i e r a ć u m i e j ą c e" (str. 124).

Podobnie nieprecyzyjny jest Wołoszynowski, jeśli chodzi o wiadomości o faktach historycznych, w szczególności o chronologję. Znowu przytoczę przykład (jest ich dużo). Kopernik wyszedłszy na nocną przechadzkę po Frauenburgu, zatrzymuje się i rozmyśla:

— „Ciała niebieskie są jak ciała ludzkie, śmiertelne. Nie znają swego końca, choć mają swój koniec. Obracają się w instynktownym jak ludzie kierunku, z a s i ł ą p r z y c i ą g a j ą c ą" (str. 108).

[1]) J u l j a n W o ł o s z y n o w s k i: „Było tak", Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa 1935, str. 298.

Ten Kopernik, znający już prawo Newtona o powszechnem ciążeniu, istotnie godzien jest największego podziwu... A przed chwilą obserwował gwiazdy przez szkła (str. 106), zapomniawszy najwidoczniej w roztargnieniu, że pierwszą lunetę (a właściwie — lornetkę) skonstruował — w siedemdziesiąt lat później — Galileusz!

Wogóle zresztą obrazy, roztaczane przez Wołoszynowskiego, niezbyt są — jako wizja poetycka — przekonywające. Jego odczuwanie przyrody jest jakieś dziwne, bliższe, zdaje się, stolika restauracyjnego niż pól i lasów (np. urok puszcz litewskich za Jagiełły: „Pachnie t r a w a ż u b r ó w k a j a k a l k o h o l"), jego opisy nie zachwycają plastyką, djalogi — naturalnością. Zacytujmy, *exempli gratia*, urywek o chorobie Łokietka:

— „Król polski już czuł swoje lata na szerokich plecach i nie mógł po nocach spać, choć zażywał na sen zioła, warzone przez miejscowe wiejskie zaklinaczki ziół i wymawiaczki zaklinań...
Mówiły mu leśne czarownice pomorskie:
— Nie śpisz, najjaśniejszy?
— Nie śpię, moja babo..." (str. 61).

Wszystkie te braki atoli byłyby — i to z nawiązką — okupione, jeśliby p. Wołoszynowski dał nam w swem dziele jakieś nowe, trafne ujęcie naszych dziejów, jakąś myśl samodzielną, syntetyczną, ułatwiającą lepsze zrozumienie ich sensu i ducha. Całe nieszczęście, że pod tym względem właśnie „Było tak" jest poprostu garścią banalnych, małowartościowych anegdot i mniemań, kiedyś — bodaj jeszcze w pokoju dziecinnym — zasłyszanych, i nigdy później poważniejszą pracą, własnym wysiłkiem intelektualnym nie skorygowanych, nie pogłębionych.

Tak więc o Janie Olbrachcie dowiadujemy się, że wtedy „wyginęła szlachta, czyli konnica polska" (o tem, że w dobie krótkiego tego panowania dokonał się olbrzymi przełom społeczno-ustrojowy — Balzer, Bobrzyński liczą od niego nową epokę dziejów Rzplitej — nie informuje p. Wołoszynowski ani słowem), o czasach saskich czytamy znowu, że pito i „polskie pasy na kontuszach popuszczają się coraz szerzej..." Zygmuntowi Augustowi ukazuje się widmo Barbary, Sobieski zajęty jest „sadzeniem w rzędy lip", August II „miał rękę żelazną... bo łamał podkowy jak druty..."

Autor bodaj zdawał sobie sprawę, że twórczość tego gatunku jest niejako parafrazą „24 obrazków" Anczyca, lub „Wieczorów pod lipą" Siemieńskiego, więc chcąc zaznaczyć, iż książkę swą pisał dla dorosłych nie dla dziatwy, uzupełnił rzecz paru fragmentami o treści drastycznej. Zaczem w rozdziale, poświęconym Batoremu, opowiada, iż:

„Wywodził się z tego rodu węgierskiego, który zasłynął potem w Europie klasyczną sadystką, Elżbietą Batorówną — uprawiającą na swym książęcym dworze seanse udręki i mordowania (setkami) kobiet młodych i dziewcząt..." (str. 117).

Podobnież w rozdziale o Chrobrym zabawia czytelnika obrazkiem:

„Bolesław Mieszkowicz,.. parzył się w łaźni... chłostały go wiennikami łaziebne młode dziewczyny, potem on je chłostał, każąc im się rozbierać do naga..." (str. 18).

Ten ostatni urywek jest niezmiernie — jeśli chodzi o erudycję pisarza — znamienny: p. Wołoszynowski zasłyszał coś, że w Kronice Galla Anonima wspomina się o łaźni i chłoście, nie wiedział tyl-

ko, że mowa tam o młodzieńcach znakomitego rodu, nie o dziewczynach, i że rzecz cała jest poprostu... opisem ceremonji pasowania na rycerza, której rytuał nakazywał i kąpiel uprzednią i własnoręczne uderzenie obdarzonego pasem rycerskim przez króla. (Dokładnie powiadamia o tem wszystkiem Karol Szajnocha w „Szkicu historycznym" o „Łaźni Bolesława Chrobrego").

— — — — — — — — — — — —

P. Wołoszynowski, zabierający się — z tym zasobem myśli i wiedzy — do ogłaszania książki o dziejach narodu, jest w swej odwadze charakterystycznym przykładem, a w znacznej mierze także i ofiarą, epoki, w jakiej żyjemy i jej wymagań. Dziś, gdy sekretarz Akademji Literatury twierdzi publicznie, że Polska przyjęła chrześcijaństwo już w ósmym wieku, że obowiązywało w dawnej Rzplitej prawo rzymskie i t. p., trudno doprawdy żądać od pisarza większego samokrytycyzmu, gruntowniejszych studjów... Wszak i bez tego czekają go zaszczyty, zaś o źle przedstawioną przeszłość — któż się upomni?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ŻYCIE WSPÓŁCZESNEGO STUDENTA ciężkie jest nietylko z powodu trudności materjalnych, któremi go obarcza kryzys i podwyżki czesnego. Daleko bardziej dotkliwe jest to, że w swem ludzkiem dążeniu do wiedzy, do realizowania swej osobistej wartości duchowej — zostawiony jest samemu sobie, uczelnia bowiem występuje w stosunku do niego w sposób zgoła nieludzki, mechanistyczny, fomalistyczny. W dążeniu do swych celów, w borykaniu się z trudnościami natury nietylko materjalnej ale i duchowej, kiedy próbuje on zwracać się o pomoc do profesora czy dziekana, napotyka na ton urzędowy, czuje się jak niepotrzebny szary człowiek po tamtej stronie biurowego okienka. Przepisy, zmiany przepisów, nowe przepisy. Oto co profesor ma dziś do powiedzenia studentowi, czem zasłania się przed nim, ucieka od jego istotnych bolączek. Dawny ideał ojcowskiego stosunku profesora do studenta, serdecznego i istotnego współżycia, nie zaś tylko oficjalnego obcowania zakreślonego programem, godzinami wykładów i przepisami ustawy — należy do przeszłości. Student współczesny, gdy mu ktoś opowiada o takich właśnie stosunkach na uniwersytetach w Anglji, w starym Oxfordzie czy w Cambridge, słucha tego opowiadania jak pięknej, ale zgoła nierealnej bajki.

Niedawno temu odbyło się na uniwersytecie walne zebranie jednego z kół naukowych. Na zebraniu tem panowała jednomyślność. Ale bynajmiej nie bierna. Co chwilę padały nowe wnioski zasadnicze — o *numerus nullus* w kole, o osobne miejsca dla żydów w audytorjach, rezolucja o wzięcie udziału w pielgrzymce na Jasną Górę, wniosek o zawieszeniu krzyży we wszystkich audytorjach, protest przeciwko ubliżającej godności akademika enuncjacji prof. Kotarbińskiego w „Kurjerze Porannym"... Widać było, że to społeczność akademicka, w której nurtują istotne przeżycia, która ma istotne bolączki i dążenia.

Cóż miał na to do powiedzenia obecny na zebraniu kurator? Oto tyle tylko, że przy każdym dalej idącym wniosku wstawał i ogłaszał tonem urzędowym — „Zawieszam uchwałę." Gdy go proszono by tę swą decyzję cofnął, bo sprawa jest dużej wagi, o znaczeniu żywotnem — wstawał i ogłaszał krótko-węzłowato — „Decyzji nie cofnę, jeśli panowie chcą, proszę się odwołać do rektora." I tyle. Sprawa załatwiona. Proszę się zgłosić do innego okienka.

Linja podziału... Z jednej strony społeczność akademicka mająca swe żywotne, głęboko nurtujące sprawy, z drugiej strony profesor, który, schowany za paragrafy nie ma tu nic do powiedzenia. Smutny los studentów. Ale litować się można także nad losem profesora, którego sprowadzono do roli marjonetki wstajacej automatycznie za naciśnięciem guzika z napisem „żyd — uwaga!"

Inny przykład. W bieżącym roku akademickim zmieniono przepisy o absolutorjum. Dawniej absolutorjum to był taki stan wytchnienia, kiedy się nie płaciło czesnego i można było spokojnie zdawać egzaminy, zbywszy się kłopotu o opłaty i mając skutkiem tego trochę grosza na koszta egzaminów. Student ubogi — a tacy są dziś niemal wszyscy — w ciągu całych studjów zmierzał do tej chwili jak do portu — byle jeszcze ten rok, jeszcze jedno czesne, a potem już absolutorjum! Tymczasem trzeba jeszcze cały czas poświęcić na zarobki, byle wydołać z opłatą czesnego, potem — i nareszcie—egzaminy. Tymczasem zmieniono przepisy. Do absolutorjum potrzeba zdać egzaminy. Po czterech latach pracy student dowiaduje się, że trzeba było inaczej całkiem orjentować swą pracę. Jeśli nie zdał egzaminów licząc na przywileje absolutorjum, musi teraz znowu opłacać czesne — już podwyższone. Tymczasem temu nie podoła. Odwołuje się więc do dziekana — może on poda rękę i pomoże. Tymczasem, kiedy wreszcie po długich staraniach dostał się przed niedostępne jego oblicze — słyszy tyle tylko: „nic panu nie poradzę — przepis, rozporządzenie — odwołałem się do ministra, powiedział mi, że jestem zupełnie w porządku. Dowidzenia panu".

I tyle. Student, borykając się z trudnościami swej ciężkiej doli, nie napotyka na żadną pomoc ludzką. Ciągle rozbija sobie głowę o biurowe okienko, w dodatku zamknięte.

DAWNO JUŻ NIE SŁYSZELIŚMY W POLSCE tyle wrzasku i lamentu (dwa charakterystyczne dla żydów przejawy żalu, rozpaczy, strachu i tym podobnych wzruszeń), ile obecnie z powodu sprawy uboju rytualnego. Nic dziwnego — za skasowaniem tego barbarzyńskiego zwyczaju opowiedziała się nie tylko Endecja, która — wiadomo — jak zawsze, jak zwykle, jak niemal wyłącznie... ale wniosek p. Prystorowej, jest właśnie wnioskiem p. Prystorówej, członkini zespołu autentycznej „sanacji", a w Częstochowie to nawet przysięgli żydofile socjaliści głosowali w Radzie Miejskiej wspólnie ze wszystkimi radnymi Polakami, zupełnie jakgdyby nie byli humanitarystami i postępowcami! — Jakże tu nie szukać ściany płaczu, chociażby tylko przypadkowego murku...

Odpowiadając na artykuł posła Cata — Mackiewicza ze „Słowa", który napisał, iż mowę ministra Raczkiewicza powitała z entuzjazmem prasa żydowska, „Nasz przegląd" dodaje skrzętnie i z rezygnacją:

„Otóż żadnego entuzjazmu nie było, choćby dlatego, że antysemityzm uprawia u nas nietylko Endecja, o czem p. Mackiewicz chyba wie najlepiej."

To „chyba" jest wielce smętne i wymowne. Przychodzi na myśl inszy cytat z tegoż „Naszego przeglądu". Tym razem sprawozdanie z sejmu. Czytamy tam:

„Obok p. ministra (jednak!) w obronie żydów przed gwałtami antysemitów stanęło dwóch posłów sanacyjnych, pp. Walewski i Kraśnicki. P. Walewski również trzymał się sakramentalnego już u nas systemu „równowagi." Na łyżkę miodu dał parę łyżek dziegciu..."

Dziegciu? Bardzo nieprzyjemne. I to w takiej proporcji!

Wszyscy zawodzą oprócz wice-ministra ks. Żongołłowicza, który niespodziewanie stanął w obronie „szechity", zadowalając się tem samem zadnią częścią bydełka. Zawiódł nawet b. minister Reichman.

„Nasz przegląd" w numerze z dnia 4 marca taką podaje gorzką z (dziegciem?) wzmiankę:

„Białostocki „Unzer Leben" donosi, iż na zgromadzeniu członków egzekutywy, wyłonionej w swoim czasie na zjeździe wojewódzkim gmin żydowskich w Białymstoku, omawiano sprawę uboju rytualnego. Wysłuchano sprawozdanie adw. J.Warszawskiego, który, jako przedstawiciel gminy białostockiej bawił w tej sprawie w Warszawie. Opowiadał on m. in. o staraniach dotarcia do b. min. pos. Reichmana, który — jak wiadomo — wybrany został z okręgu białostockiego. Na telefoniczne zapytania adw. Warszawskiego oświadczył on, iż przyjąć go nie może, ale udzieliłby odpowiedzi na skierowanie doń pismo. P. Warszawski udał się mimo to do mieszkania pos. Reichmana, gdzie jednak oświadczono mu, że poseł wyjechał do siebie do majątku".

Nie chciał się widzieć, a kiedy adw. Warszawski udał się do mieszkania, oświadczono, że wyjechał do siebie do majątku...

Panie Warszawski! Co pan myślał? Że przyjmnie, że się wstawi, że razem z panem zapłacze? Gdzieżtam — b. minister Reichman jest już dziedzicem i za parę dziesiątków lat potomstwo jego będzie tak już krew z krwi i kość z kości, jak dzisiaj np. poeta p. Wittlin, rasowy szlagon, jak się patrzy! (...a zwłaszcza, jak się nie patrzy...)

Z RĄK WIARYGODNYCH otrzymujemy następujący spis żydów, zajmujących stanowiska w tarnopolskim urzędzie wojewódzkim:

„1. Henryk Hacker — osobisty sekretarz wojewody. 2. Ludwik Łaniewski (z domu Landau) — naczelnik wydziału administracyjnego. 3. Frydzia Rozenkranz — sekretarka wydz. administracyjnego. 4. Woleńska z domu Orlińska — referentka wydziału administracyjnego. 5. Menkes — referat budżetowo-gospodarczy. 6. Sardecki (z domu Fejfer) — inspektor starostw. 7. Przywirski — kierownik oddziału drogowego. 8. Hirschberg — zastępca kierownika oddziału drogowego. 9. Köppel — kontrola ruchu. 10. Woltfthal — referent drogowy. 11. Redner — nadzór budowlany. Feith — naczelnik wydziału sanitarnego. 13. Rozencwajg — wice-starosta w Podhajcach."

Nie dla zdumienia przytaczamy ten spis, oczywiście! Jest to jeden z tysiąca fragmentów, które składają się na wielki obraz współczesnej Polski. Ciekawe jest przytem zjawisko, że ci Polacy, którzy za podobny stan rzeczy odpowiedzialność ponoszą, ze współczuciem rozpisują się i rozprawiają o nędzy, wyniszczającej polską warstwę oświeconą...

Czyż naprawdę nie widzą sposobu częściowego przynajmniej polepszenia tego stanu?

WIADOMOŚCI, JAKIE NADCHODZĄ Z FRONTU ABISYŃSKIEGO, napawają radością serce każdego prawdziwie konsekwentnie usposobionego „narodowca". Bałamuctwa bowiem „sankcjonistów" — także i polskich — przebrały już zaiste były wszelką miarę, a rozczulanie się „szmatławców" żydowskich nad dzikim bądź co bądź narodem afrykańskim działały na wielbicieli jedynej prawdziwej kultury łacińskiej jak „ubój rytualny" na dręczone przez niego stworzenia.

Człowiek się jednak sam siebie pyta, gdzie się podział w tem wszystkiem „duży Kohn", gdzie się podział „rajski" pan Eden, gdzie zaś cnotliwy i wspaniałomyślny—kosztem drugich—Albion?

Ten Albion, którego czujemy w kościach i my, nieszczęśni Etjopowie od ukończenia wojny, który nam do tej nadwiślańskiej kolonji nasyła swoich „inteligentnych" a „służbistych" „Century-Rickett'ów", który ewangelizował mimochodem — za pomocą różnych „badaczy pisma", teozofów i Max-Müllerów—„ciemnych" polskich „papistów" i wywoływał manewry polityczne miejscowych Selassich na szkodę przeciwnych im Lidżi-Yassów.

Jakto—więc skończyły się czasy Warren Hastingsów i Hudson Lowe'ów, jakto — więc wolno będzie odtąd może kontynentalnemu Tomkowi hałasować w swoim własnym domku, nie bacząc na to, że na górnem piętrze niecierpliwi się zacny lord Gaweł, gwarant równowagi europejskiej i protektor uciśnionych, poza obrębem bilansu handlowego Anglji, narodów?

„NAJSTARSZA CÓRKA KOŚCIOŁA", Francja i arcykatolicka Hiszpanja pochorowały się równocześnie.

W Paryżu i Madrycie ster spraw ujęli niemal równocześnie, podobni do siebie—nawet z zewnętrznego wejrzenia, urobionego przez loże „bracia" Sarraut i Azana. Tu i tam zawiniły w przygotowaniu tak fatalnego rozwoju wypadków sfery umiarkowane: we Francji dobrze i nam znana krótkowzroczność kół gospodarczych (w osobach Nicolle'a i towarzyszy); w Hiszpanji—równie dobrze nam znane „mydłkowanie" *leader*'ów chadeckich (por. proces wileński!)

Tak więc—szerokość geograficzna nie wpływa na ciasnotę poglądów, oportunizm zaś krzewi się na wszelkich równoleżnikach.

TAJEMNICA „SZECHITY"

Eugenjuszowi Brandtowi, autorowi pomnikowego dzieła „Mordy rytualne u żydów"

OBECNIE w Polsce, w znacznej mierze dzięki spopularyzowaniu tej sprawy przez prof. ks. prałata Trzeciaka, rozwija się akcja przeciw ubojowi bydła według rytualnego obrzędu żydowskiego.

Według tego obrzędu, t. zw. „szechity"—zwierzę nie zostaje zabite odrazu, lecz przed śmiercią

poddawane jest barbarzyńskim wprost torturom. Zgodnie z talmudem, „koszernem” t. j. dozwolonem do spożywania jest tylko mięso zwierzęcia, z którego jeszcze za jego życia była wytoczona krew; mięso zwierzęcia zabitego odrazu, bez uprzedniego wytoczenia krwi, uważane jest za „trefne” t. zn. do spożywania żydom niedozwolone. Dlatego też żydowscy rzezacy po specjalnej, szczegółowo przepisanej przez talmud ceremonji badania zwierzęcia oraz rytualnych noży i odmówieniu tajemniczych modlitw i zaklęć, podrzynają gardło swej nieszczęsnej ofiary, która oczywiście nie zdycha odrazu, lecz dopiero po 15—20 minutach agonji, od upływu krwi.

Polska jest jedynem państwem w świecie, w którem, do dnia dzisiejszego, prawie cały ubój bydła rogatego jest wykonywany podług obrzędu „szechita”. W Warszawie naprzykład, żydzi zawładnęli miejskiemi rzeźniami w pełnych 100% (oprócz uboju świń). Mięsa bez żydowskiej pieczęci dostać nie można. Żydzi wszelkiemi sposobami starają się dowieść, że ta żydowska pieczęć na mięsie jest najpewniejszą gwarancją jakości sprzedawanego towaru, ponieważ oni, rzekomo, poddają przed ubojem zwierzę najdokładniejszemu badaniu, gdyż, podług talmudu, prawowiernym żydom dozwolone jest spożywanie mięsa tylko z zupełnie zdrowych zwierząt, zabijanych „najbardziej humanitarnym i hygjenicznym” sposobem rytualnym.

W rzeczywistości sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej: dobre i zdrowe mięso „koszer” żydowscy rzezacy zostawiają dla swoich współplemieńców, a mięso drugogatunkowe zwierząt chorych i wszelkie odpadki „tref”, opatrzone „gwarancyjnemi” żydowskiemi pieczęciami, dostarczane jest aryjczykom.

Od każdej sztuki zwierzęcia, zabitego według rytuału, pobierany jest specjalny podatek, wpływający do żydowskich kas gminnych, skutkiem czego mięso znacznie drożeje. Podatek ten, płacony przez aryjczyków, jest jedną z najbardziej dochodowych pozycyj tychże gmin.

Ta anomalja i zależność polskiego rynku mięsnego od żydowskich rzezaków przepełniły wkońcu miarę cierpliwości i zmusiły społeczeństwo do wystąpienia przeciwko ubojowi rytualnemu.

Nadzwyczaj ciekawe i naukowo uzasadnione odczyty prof. ks. prałata Stanisława Trzeciaka, który wzywał swych słuchaczów do chrześcijańskiego i miłosiernego odnoszenia się do „zwierząt—młodszych braci rodu ludzkiego”, obudziły w społeczeństwie polskiem zdrowy odruch przeciwko barbarzyństwu żydowskiemu. Walka z ubojem rytualnym przeszła w ręce T-wa Opieki nad Zwierzętami, które przeniosło ją z granic Polski na *forum* międzynarodowe.

Na międzynarodowym Kongresie Towarzystw Opieki nad Zwierzętami, który odbył się w Brukseli, przedstawicielka Polski, doktór medycyny p. Janina Knappe, wystąpiła z obszernym referatem, poświęconym rytualnemu ubojowi. Znamienny i charakterystyczny był popłoch, jaki powstał w międzynarodowem żydostwie na wieść o tym referacie.

Na kilka dni przed rozpoczęciem Kongresu zwróciła się do jego organizatorów delegacja belgijskich rabinów z głównym rabinem Brukseli na czele, z prośbą o nieporuszanie sprawy uboju rytualnego, ponieważ „zabronienie rytualnego uboju byłoby śmiertelnym ciosem dla religji żydowskiej”. Komitet jednakże kategorycznie odrzucił tę prośbę. Bezpośrednio po otwarciu Kongresu, Komitet otrzymał list od głównego rabina Paryża, z prośbą o niedopuszczenie do wygłoszenia referatu przez p. dr. J. Knappe.

Następnego dnia, t. j. w dniu otwarcia Kongresu, do Brukseli przyjechał specjalny delegat żydowskich organizacyj Wiednia, jednakże nie został wpuszczony na salę obrad. Po tym fakcie, po raz drugi zjawiła się delegacja belgijskich rabinów i czyniła kroki u przewodniczącego Sekcji uboju bydła, by Kongres wstrzymał się od uchwalenia jakiejkolwiek rezolucji w sprawie uboju rytualnego. Przewodniczący Sekcji i tę prośbę odrzucił.

Wobec nieprzejednanego stanowiska Kongresu referat p. dr. J. Knappe został odczytany bez incydentów. Odnośna rezolucja po referacie brzmiała: „dążyć do zupełnego zabronienia uboju bydła sposobem rytualnym we wszystkich państwach, gdzie jeszcze to barbarzyństwo jest praktykowane”. Kongres jednogłośnie wypowiedział się przeciw rytualnemu ubojowi i uznał go za hańbę cywilizacji XX wieku.

Ostatnio wreszcie, w Sejmie polskim, referat posłanki Prystorowej, uzasadniający postawiony przez nią wniosek ustawy o skasowaniu uboju rytualnego w Polsce, oświetlił to zagadnienie—w sposób głęboki i gruntowny— z rozmaitych punktów widzenia, jak: etycznego, humanitarnego, sanitarnego, ekonomicznego i in. Sprzeczność uboju rytualnego z chrześcijańską etyką, niepotrzebne i zdawałoby się niczem nieobjaśnione okrucieństwo żydów w stosunku do bezbronnych zwierząt, brak sanitarno-hygienicznych warunków uboju, które pociągają za sobą możliwości chorób wśród spożywców „koszernego“ mięsa, podrożenie cen na rynku z powodu wysokich opłat żydowskim rzezakom—wszystko to w dotychczasowej dyskusji na temat koniecznego zniesienia „szechity“ było już szczegółowo rozpatrywane i bezspornie ustalone. Mimo to jednak nie wszystko jeszcze zostało powiedziane w tej sprawie.

Debatowano tylko nad potwornemi zewnętrznemi formami tych lub innych przejawów, związanych z rytualnym ubojem, lecz sam grunt, jądro tego żydowskiego rytuału nie ujrzały światła dziennego. Prawda, mówiono o talmudzie, rozprawiano o przepisach „szechity“ podług „szulchan-aruch“, lecz było to poruszone raczej powierzchownie. Nie wyświetlono tajemnicy: dlaczego żydostwo wszystkiemi siłami czepia się kurczowo przestarzałych obrzędów okrutnego swego rytuału? Jakie mianowicie miały znaczenie słowa belgijskich rabinów, że „zabronienie rytualnego, uboju, byłoby śmiertelnym ciosem dla religji żydowskiej“?

Ażeby zrozumieć tę tajemnicę, przydałoby się, być może, zwrócenie się do epoki starożytnej, epoki Asyrji, Babilonu i Egiptu z czasów jeszcze kultu Astarty, Baala i Molocha. W owej dobie, dla przebłagania tych krwiożerczych bóstw, składane były ludzkie ofiary. Krew, będąca według ówczesnych pojęć siedliskiem duszy i życia, uważana była za własność bóstw. Krwią obficie zle-

wano ofiarne ołtarze mrocznych świątyń. Mniej więcej na 2,000 lat przed naszą erą, Egipcjanie stopniowo zarzucili przelewanie krwi własnej, zastępując ją krwią jeńców-niewolników lub też krwią zwierząt. Zwierzęta przytem składano tylko wtedy, gdy brakowało jeńców. W tych wypadkach kapłani egipscy przymocowywali do rogów zwierząt ofiarnych papyrus z podobizną człowieka ze związanemi rękami na plecach. Podobizna ta oznaczała, że zwierzę zastępuje ofiarę ludzką i okupuje życie ludzkie przez poświęcenie własnego. W ten sposób mistyczny składano w ofierze człowieka w postaci zwierzęcia. Dlatego też krew zwierząt uważana była za „świętą" i zabronioną do spożywania ludziom.

Podobną wydaje się i geneza „szechity". Sposób zabijania zwierząt ofiarnych omówiony jest szczegółowo w talmudzie. Oczywiście nie należy szukać w talmudzie śladów jakichkolwiek wskazówek o ludzkich ofiarach. Jeżeli o tem kiedyś i było pisane, rabini w późniejszych czasach wskazówki te usunęli ze zrozumiałych zupełnie powodów.

Czy jednakowoż symbolika, powszechna w religjach starożytnego Wschodu, nie zachowała się w tej czy innej formie, w tajemniczych wierzeniach i przepisach talmudycznych?

W wiekach średnich czarownicy i „czarni magowie", celem uśmiercenia lub okaleczenia swego wroga, stosowali następujący magiczny sposób (t. zw. *envoutement*): ulepiali z wosku podobiznę człowieka-wroga, niekiedy przyklejali do niej włosy tegoż lub kawałek jego odzienia, wypowiadali odpowiednie kabalistyczne zaklęcia, wskutek czego między figurką a wyobrażonym przez nią człowiekiem nawiązywała się magiczna łączność, poczem kłuli figurkę szpilkami, krajali nożami, topili ją na ogniu i poddawali różnorodnym męczarniom. Po zastosowaniu tych magicznych praktyk, człowiek wyobrażony przez figurkę winien był albo nieoczekiwanie umrzeć albo być okaleczonym w tem miejscu, które było poranione na figurce.

Ten magiczny sposób wykonywania wyroków na wrogu zachował się do dzisiejszych czasów w podwładnych masonerji okultystycznych organizacjach satanistycznych. Woskowa figurka, t. zw. „mumja", obecnie często tam zastępowana jest przez fotografję, której wykłuwają oczy, przebijają pierś w miejscu, gdzie jest serce itp.

Nie chodzi nam tutaj o szczegółowe rozważenie opisanych wyżej magicznych praktyk. Wskazujemy tylko, iż ubój rytualny jest również swego rodzaju operacją magiczną, w której rolę woskowej „mumji" lub fotografji spełniałoby zabijane zwierzę, wyobrażające człowieka. Starając się, drogą kabalistycznych zaklęć, nawiązać magiczną łączność między ofiarnemi zwierzętami i nienawistnymi „gojami", żydzi, jak można wnioskować, usiłują sposobem okultystycznym przynieść szkodę tym, których za wrogów swych uważają — „gojom".

O tem, przy rozpatrywaniu kwestji uboju rytualnego również nie należałoby zapominać.

W. SZ.

NAUKA i LITERATURA

O ZAMIERANIU JĘZYKA

W JEDNEM z czasopism literackich czytamy uczone uwagi o badaniu dzieła sztuki:

„Co innego jest dzieło literackie, a co innego jego konkretyzacje, które w nas powstają podczas lektury dzieła, w których aktualizowane są jakości estetycznie walentne, tkwiące w dziele jako potencjał... I ta monosubjektywna konkretyzacja jest dopiero dziełem sztuki... (Dzieło literackie jest przedmiotem intersubjektywnym i t. d.)".

Zastanówmy się, ile to czasu jeszcze upłynie, zanim wynajdziemy w słowniku polskim wyrazy potrzebne do jakiego takiego wytworzenia pojęć naukowych. Istnieją wątpliwości, czy łaciną można się posługiwać w stosunkach nowoczesnych, boć to przecież język umarły. Polski język jest żywy, ale cóż z tego — w potrzebie naukowej (ba nawet potocznej!) uciekamy się do — łaciny (greki), jakby nasz język był już umarł.

Oto w zdaniu, wyżej przytoczonem, mamy: konkretyzacja, lektura, aktualizować, walentny, subjektywny (mono-, inter-), że już machniemy ręką na: literacki, estetyczny.

Czy nie możnaby np. tego zdania, bałamutnego zresztą pomimo pozorów uczoności, wypowiedzieć w sposób zrozumialszy?

„Co innego jest dzieło literackie, jako przedmiot, a co innego postać, w jakiej ono odżywa w duszy czytelnika nieobojętnej na jakości piękna, tkwiące w dziele przedmiotowo, jako możliwość wzruszenia. Odnalezienie żywego podmiotu dla dzieła — oto właściwe zadanie dzieła sztuki"... (a nie „dzieło sztuki", skoro samo dzieło uznajemy za przedmiot).

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Wydawany staraniem Tow. Literackiego im. Mickiewicza we Lwowie „Pamiętnik Literacki" zaznaczył swój rozwój nietylko poszerzeniem ram swego wydawnictwa, ale wyłonił nowe wydawnictwo w postaci „Bibljoteki Pamiętnika Literackiego". W ostatnich czasach ukazały się tutaj trzy tomy. W jednym z nich dano „Studja literackie" Bronisława Gubrynowicza z potretem autora i wstępem prof. Juljana Krzyżanowskiego. W drugim tegoż prof. Krzyżanowskiego studja porównawcze z pogranicza literatury i folkloru p. t. „Paralele". Wreszcie studjum o St. Wyspiańskim Tadeusza Makowieckiego p. t. „Poeta-malarz". Wszystkie prace są wartościowe, wydane starannie w dużych tomach od 236 do 300 stron druku. „Pamiętnikowi" należy się ze ten wysiłek gorące uznanie.

*

W ostatnim zeszycie dwumiesięcznika „Język Polski" (nr. 1 z r. 1936), organu Tow. miłośników języka polskiego, wychodzącego pod auspicjami Akademji Umiejętności a pod redakcją prof. Nitscha, ukazały się interesujące rozprawki o gwarze ludowej w powieściach Reymonta. Autorami są: W. Węglarz, Z. Stieber i K. Wyka. Okazuje się z tych prac, że Reymont wytwarzał syntetyczny djalekt chłopski bardzo umiejętnie, kierując się intuicją artystyczną i dbając o to, aby zbytnie zlokalizowanie gwary i sprecyzowanie (np. mazurzenia) nie odstręczało czytelników.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Z każdym rokiem rośnie u nas ilość książek podróżniczych; trzeba przyznać, że dział ten przedstawia się coraz poważniej. Dawniej momentem zainteresowania dla czytelników i podnietą pisarską dla autorów była przygoda czy sensacja; obecnie coraz to częściej wchodzi w grę pragnienie wiedzy. Mimo tej wagi i powagi książka podróżnicza nie staje się bynajmniej „nudna." Owszem, taka np. książka inż. Centkiewicza o naukowej wyprawie polarnej (wyd. „Rój") jest bardziej intrygująca od wielu powieści świadomie sensacyjnych. Wielkie zainteresowanie budzić powinny liczne już u nas książki o Rosji sowieckiej; niestety, często sprawiają nam one zawód niemały. Pominąwszy bowiem pozbawioną wszelkiej wartości literackiej chwalbę ustroju sowieckiego napisaną przez Wandę Kragen, nie

odsłaniają nam oblicza wschodnich sąsiadów nawet rzeczy pisane bardziej objektywnie, takie jak Lepeckiego „Sybir bez przekleństw" (Rój) czy Mackiewicza „Myśl w obcęgach" czy wreszcie książka Janty Połczyńskiego, który dzięki swej młodzieńczej swobodzie najwięcej zdołał zobaczyć — bez obsłonek; ale i on przecie bywał na każdym kroku strzeżony przez różnych „aniołów stróżów", którzy nie pozwalali mu się zapuszczać zbyt głęboko... Napisana z nieposolitym talentem przez Melchjora Wańkowicza „Nieopierzona rewolucja" (Rój) zawiera świetne migawki z życia Rosji, zarysowane żywo i bystro, zwłaszcza że autor miał dobrą skalę porównawczą, bo znał kraj ów jeszcze z czasów przedwojennych i wojennych; cała szkoda, że i jego pilnowano czujnie podczas podróży — i że ta podróż trwała ledwie parę dni... Wielką i gruntowną książkę o Rosji dał Błeszyński (drukował pierw w „Gazecie Warszawskiej"), szkoda że szczegóły podane są chaotycznie i bez starania o formę literacką.

Narazie więcej nam wiadomo o Afryce i Indjach, niż o Rosji. Nawet pomimo tego, że książka Goetla o Indjach (wyd. Gebethner) przynosi nam w niejednym względzie zawód przez swoją nonszalancję w stosunku do wielu — najciekawszych właśnie zagadnień. Także pomimo tego, że niedawno pojawiła się o Afryce tendencyjna książka, której fałsze zdemaskowano w prasie. W każdym razie kontrola tu jest możliwsza, zwłaszcza że z każdym rokiem dążą tam nasi polscy podróżnicy i to już przygotowani naukowo. Rezultaty ich badań i zdobycze ich podróży bywają nader znacznym materjałem kształcącym w nauce szkolnej. To też wyborna była myśl, rzucona przez Zrzeszenie Polskich Nauczycieli geografji, a zrealizowana przez „Książnicę Atlas", założenia bibljoteczki geograficzno-przyrodniczej p. t. „Dookoła ziemi". Tomiki tej bibljoteczki przeznaczone są zresztą nietylko dla młodzieży szkolnej; zwłaszcza książka J. S. Bystronia o „Algierze" miarę tę przekracza dość często, co jej zresztą wcale na złe nie wychodzi — owszem korzystnie odbija styl tej książki od niedawnych familjarno-pretensjonalnych gawęd Ossendowskiego. Trochę oschła w swej rzeczowości jest książka J. Mrozowskiej „Wyprawa na Pamiry;" natomiast H. Gordziałkowskiego: p. t. „Czarny sen" (o Kongo) jest pełną życia opowieścią. (J. B.)

*

Stanisław Zieliński. „Polska Bibljografja Morza i Pomorza;" Warzawa 1935. Wyd. Ligi Morskiej i Kol.

Dotychczas zestawienia bibljograficzne, ogłoszone po Wielkiej Wojnie przez Wierczyńskiego, lekarza Pniewskiego, Śląskiego i innych, mają cenne, ale fragmentaryczne znaczenie dla bibljografji polskich spraw morskich. Autor, zebrawszy w tym przedmiocie materjały, opublikował je w wyżej wymienionym, jak nazwał, skrócie. Wspólna myśl materjałów dobył z wydawnictw polskich i obcych od najdawniejszych czasów, i z artykułów zamieszczonych w prasie. Okazuje się, już z zacytowanych tytułów, jak realnym i wielostronnym może być interes państwa w dalszym rozwoju naszych skromnych uprawnień, a szczególniej „bramy na świat," Gdyni. Tytuły te uświadamiają o dziejowym znaczeniu morza i walce o posiadanie dostępu do morza, o żeglarstwie, banderach, szkolnictwie, literaturze naukowej z oceanografji i innych dziedzin wiedzy związanej z morzem, hydrografji, astronomji nautycznej, geologji i meteorologji, badań okolic podbiegunowych i podróży.

Mówią o zagadnieniu międzynarodowej wymiany towarów, urządzeniu, organizacji i technicznem wyposażeniu portów, o władzach i budowlach morskich. O budowie statków, oraz o mechanizmach i urządzeniach okrętowych, i o przemyśle z tem związanym. O rybactwie morskiem-rzecznym i jeziornem, marynarce wojennej i handlowej. O ustawodawstwie, drogach wodnych i sporcie. W osobnym dziale bibljografja wydawnictw dotyczących Pomorza i Gdańska, ich geografji, etnografji, przyrody, kultury, sztuki i polityki. Dalej bibljografja z tych dziedzin w obrębie ziem, oderwanych od Polski podczas rozbiorów, Prus książęcych, Mazurów, Warmji i Litwy. Słowem, przejrzysty, wnikliwy, ofiarną pracą zestawiony, przewodnik dla pragnień i nadziei Polaków w sprawach morza i Kolonji.

(A. W.)

*

Henryk Życzyński: „Kandydatura Filomatów na tron polsko-litewski". Fragment z monografji p. t. „A. Mickiewicz". Lublin 1936.

Każde studjum Życzyńskiego z zakresu polskiego romantyzmu dobywa nowe do poznania tej epoki motywy, nie tylko w sferze pomnożenia matejałów, ale w kierunku badań umysłowości ówczesnych ludzi i badań istoty zdarzeń. Z tego tak napozór drobnego faktu, jak dokonanie przez Mickiewicza przekładu jednej z ód Horacego, wysnuwa Życzyński zaistnienie idei politycznej. Treść tej ody z motywem zaboru wolnego kraju przez wodza wojsk rzymskich nasunęła poecie przy opracowywaniu przekładu ody możność przedstawienia analogji do zaborczego władztwa cara nad Polską i Litwą. Myśl ta, ze względów na konspiracyjne cele Filomatów miała pozostać utajoną wobec cenzury rosyjskiej, a nawet przed sympatykami Towarzystwa. Poeta nie poprzestał na ukazaniu podobieństwa między okolicznościami towarzyszącemi zaborowi Kartaginy przez Rzymian i ziem Polski przez Rosję. Patrzył w przyszłość. Widział Polskę wolną, rządzoną przez monarchę, który będzie, „jak ojciec sercem dla dzieci łaskawy". Wśród zasłużonych w sprawach publicznych upatrywał przyszłego kandydata do korony. Był nim magnat Adam Chreptowicz, słynny z tego, że, w myśl angielskich idei liberalnych i demokratycznych, w dobrach swoich na Litwie uwolnił włościan od pańszczyzny i nadał im własność ziemi, budował szkoły, szerzył oświatę. Wogóle tak w tym przekładzie ody Horacego, jak i w innych utworach, „Warcaby", „Grażynie", „pod maską historyczności, pod maską klasycznego epickiego spokoju, krył się rewolucyjny poemat polityczny". Życzyński, celem udowodnienia tego poglądu podaje trafne komentarze, poparte, jak zwykle w studjach tego uczonego, znakomitą metodą i wszechstronną erudycją. (A. W.)

*

W Łomży powstało wydawnictwo p. tyt. „Bibljoteka dobrych Książek". Co miesiąc będzie ukazywał się tom objętości około 240 stron i kosztować będzie tylko 1 złoty, a w prenumeracie za trzy tomy tylko zł. 2,50 kwartalnie.

Pierwsze dwa tomy tego wydawnictwa już się ukazały i przedstawiają się nader dodatnio. Zarówno powieść „Pod wodę" Klemensa Junoszy (Szaniawskiego) jak i „Antoniego Skrzyneckiego „Wierzę" powitają czytelnicy z wdzięcznością.

Powieść znakomitego powieściopisarza Szaniawskiego, należąca do najciekawszych powieści końca XIX., nie straciła dotąd swego uroku i znaczenia. Opowieść Skrzyneckiego „Wierzę", drukowana w swoim czasie w „Roli" J. Jeleńskiego, budziła sensację przejrzystą, niemal portretowaną aluzją do osób współczesnych, głośnych i mających za sobą żaliwych wśród inteligencji postępowej zwolenników. Skrzynecki był popularnym w Warszawie dziennikarzem, królem reporterów. Materjał powieściowy miał pod ręką.

FILM

APOLLO: „Jego wielka miłość", reż. M. Krawicz i St. Perzanowska.

Nieraz będąc w teatrze na Powiślu, na sztukach reżyserowanych przez panią Perzanowską, znaną aktorkę i reżyserkę, stwierdzałem, ile jest pierwiastku filmowego w jej reżyserskich ujęciach. Pani Perzanowska nie uznaje martwych punktów na scenie. Gdy aktor z głównej roli wypowiada kwestję, lub gra tylko gestem i mimiką, zajmując swą osobą uwagę widza, pozostali aktorzy bynajmniej nie markują. Drugi i trzeci plan aktorski zawsze gra jednocześnie z pierwszym, nikt nie próżnuje i główna postać na scenie zawsze ma życie i ruchliwe tło.

To też znając inteligencję i te cechy reżyserji pani Perzanowskiej, byłem ciekaw, jak też wypadnie film, nakręcony pod jej batutą, przy pomocy fachowców z tej dziedziny. Niestety, okazało się, iż film został daleko bardziej teatralnie ujęty, niż sztuki teatralne w reżyserji tej samej artystki. Przyczyniło się do tego może, w pewnym stopniu, i niedoświadczenie, ale przedewszystkiem potraktowanie utworu filmowego tylko jako pola do pokazania wszelkich wartości aktorskich jednej głównej postaci — Jaracza. Zrezygnowano z pomysłów montażu, pracy operatora, z jej szerokiemi możliwościami, z ambicyj kompozytorskich, byle tylko jaknajdłużej i jaknajczęściej pokazywać nam Jaracza, jego grę i maskę twarzy. To też film, jako taki, jest nieciekawy i ubogi, choć Jaracz świetny. Aktor jest podstawą teatru, ale w filmie może być tworzywem taksamo dobrem, jak każde inne. Jeśli film góruje nad teatrem możliwością pokazania coraz to innej treści plastycznej na ekranie, nie należy zbyt lekkomyślnie z tego przywileju rezygnować.

Jaracz gra tu suflera, eks-aktora, który ma kompleks Napoleona. „Jego wielką miłością" jest żona, głupia i zła lalka, i Napoleon.

FILHARMONJA: „Mazur", film niemiecki.

Utwór nierównej wartości, w którym montaż, walory plastyczne filmu, górują nad reżyserją. Dopóki film przedstawia nam pewne zdarzenia, wszystko jest w porządku, banał zaczyna się dopiero wtedy, gdy autorzy filmu

z tych zdarzeń pragną wyłuskać dramat. Żona, zamiast załatwić listownie pewną sprawę ze zbyt natarczywym adoratorem, idzie do niego sama, oczywiście tylko poto, by mąż mógł ją przyłapać. Sceny, w których Pola Negri występuje jako żona i matka, należą do najsłabiej wyreżyserowanych, wedle utartego szablonu. Natomiast całość ma niezłe tempo, sporo fragmentów o niezgorszej wartości wizualnej i dwa zupełnie artystyczne rozwiązania scen: pocałunku i uwiedzenia.

Rola Poli Negri, bardzo efektowna, daje jej duże pole do popisu aktorskiego.

*

Jedna z naszych Czytelniczek nadesłała nam list, w którym wypowiada swoje uwagi, jakie jej się nasunęły po obejrzeniu filmu: „Szopen piewca wolności“ (w kinie „Roma“). Ponieważ uwagi te są b. ciekawe i dotyczą kwestyj zasadniczych, omówimy je tutaj tem chętniej, iż wspomnianemu filmowi moglibyśmy poświęcić, ze względów natury technicznej, zaledwie małą notatkę.

Czytelniczka czyni szereg zastrzeżeń:

1) oburza ją to, że Szopen polak, w filmie mówi po niemiecku (rzecz zrealizowano w Niemczech i z niemieckimi aktorami);

2) wytyka realizatorom filmu pewne błędy i nieścisłości historyczne (Elsner nie był z Szopenem w Paryżu, George Sand Szopen poznał dopiero po 2 latach);

3) uważa, że realizatorzy filmu powinni byli zrobić także wersję polską.

Zapewne, milejby nam było słyszeć Szopena mówiącego po polsku, ale jeśli w filmie niemieckim mówi po niemiecku, to jest całkiem naturalne i za grzech artystycznyani też inny, nie może być poczytane. Przecież w teatrze polskim Cezar, Hamlet, Henryk VIII, Shylock, mówią po polsku, a w teatrze francuskim mówiliby po francusku i nikogo z nas to nie razi. Gdybyśmy nakręcili film o Pułaskim, to wszyscy Amerykanie, odtwarzani przez naszych aktorów, mówiliby także po polsku. Jest to kwestja umowna; w teatrze już nas nie razi i nie będzie także razić na filmie, gdy się do tego przyzwyczaimy.

Co do wersji polskiej niemieckiego filmu, trzeba wyjaśnić, iż ta sprawa nie jest tak prosta, jak się napozór wydaje. Wytwórnie, ujawniając nawet najszlachetniejsze ambicje artystyczne, muszą zarazem względy handlowe brać pod uwagę. Wersje filmowe w językach: niemieckim, francuskim i angielskim mają zapewniony zbyt w wielu krajach; natomiast produkując wersję polską, wytwórnia może liczyć tylko na Polskę, t. zn. na rynek o zbyt małej, w stosunku od wysokich kosztów filmu, pojemności. Nie możemy wymagać za wiele. Mamy prawo żądać dobrych i wartościowych, pod względem artystycznym, filmów, ale nie żądajmy od wytwórni bohaterstwa: dokładania do interesu.

Trzeci wreszcie zarzut, nieścisłości historycznej, należy do najistotniejszych. Oczywiście bez dostatecznych ku temu powodów, nie trzeba historji przekręcać, ale zmiana pewnych drobnych, lub nieistotnych faktów, w mojem rozumieniu, nie może być poczytana za grzech poważny. Pretensje uzasadnione można mieć wtedy, gdy droga nam postać, niewłaściwie pojęta jako typ, zostaje przedstawiona w świetle fałszywem, lub w sposób naszej godności uwłaczający.

A tego autorzy filmu o Szopenie nie zrobili, wykazując w stosunku do nas dużo dobrej woli.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Chojecki Artur. Miesiące. Wierszy serja druga. Warsz. 1936. F. Hoesick.

Nowakowski Zygmunt. Stawiam bańki! Warsz. 1936. Gebethner i Wolff. Z ilustr.

Ujejski Józef. O Konradzie Korzeniowskim. Warsz. 1936. Dom Ks. Pol. Str. 301. Z portr.

Zieliński Stanisław. Obrazki z powstania 1863 r. Warsz. 1936. Bibl. Polska. Str. 40. Z ilustr.

Reichert J. W. dr. Dwoistość karteli. Katowice. 1936. Str. 16.

Sedlaczek Stanisław. Harcerstwo na Rusi i w Rosji, 1913 — 1920. Warsz. 1936. Pamiętnik Kresowy. Str. 100.

Konopczyński Władysław. Konfederacja Barska. Tom I. Warszawa, 1936. Kasa im. Mianowskiego. Str. XVI i 560.

Nowak Juljusz. Satyra polityczna Konfederacji Targowickiej i Sejmu Grodzieńskiego. Kraków, 1935. Kasa im. Mianowskiego. Str. VII i 203.

Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku. Praca zbiorowa pod red. Romana Lutmana. Katowice, 1936. Kasa im. Mianowskiego. Str. XXVI i 522.

Gembarzewski Miłosz. Wilanów. Poemat dramatyczny w 3 aktach i 3 obrazach z epilogiem. Warsz. 1936. F. Hoesick.

Młynek Ludwik Prof. Dzieje parafji Wielickiej w zarysie. Kraków. 1935. Nakł. Autora. Str. 96.

Zaderecki Tadeusz. Talmud w ogniu wieków. Warsz. 1936. F. Hoesick. Str. 112.

Prévost Marceli. Klaryssa i jej córki. Powieść. Warsz. 1936. Wyd. Nowoczesne.

Kliczka B. Dr. Nachtigal leczy psychoanalizą. Warsz. Wyd. Współcz.

Dupuy-Mazuel Henry. Joanna d'Arc. Powieść Warsz. Wyd. Współczesne.

Podleski Franciszek. Zagadnienia ukraińskie na tle stosunków austrjackich. Lwów, 1936. Str. 143.

Chłędowski Kazimierz. Historje Neapolitańskie. Wiek XIV—XVIII. Z 35 ilustr. Wyd. II. Lwów. Ossolineum. S. 563.

Wojciechowski Zygmunt. Dzieło o związkach Polski z Francją w w. XII. Oswald Balzer o mistrzu Wincentym. Poznań, 1935.

Wojciechowski Zygmunt. Mieszko I i powstanie Państwa Polskiego. Z 3 map. Toruń, 1936. Nakładem Tow. Naukowego.

Boguszewska H. i Kornacki J. Wisła. Powieść. Lwów. Książnica Atlas.

Życzyński Henryk. Kandydatura Filomatów na tron polsko-litewski. Lublin, 1936. S. 11.

NA MARGINESIE

O jednym z dygnitarzy w jednem z państw powiedziano dowcipnie:

— Oto człowiek na właściwem miejscu. Posiadając tylko zalety zewnętrzne, został ministrem spraw wewnętrznych.

*

Szczyt... wolności.

Stanąć przy sterze, skierować fałszywie, pochwalić się nonsensem i nie czuć za to żadnej odpowiedzialności, nawet moralnej.

*

Szczyt drażliwości.

Kiedy w r. 1933 senator Dobrzyński w debacie nad budżetem min. przemysłu i handlu wspomniał w przemówieniu swojem o zalewie „tandety żydowskiej”, ówczesny marszałek Senatu, Raczkiewicz, przerwał mówcy, przywołując go do porządku.

Senatorowie spojrzeli po sobie...

*

Szczyt roztargnienia.

Wiceminister ks. Żongołłowicz, znalazłszy się na debacie o uboju rytualnym w komisji sejmowej, zajął miejsce przeznaczone dla rzeczoznawcy rytuału żydowskiego, rabina. Daremnie ks. Trzeciak wskazywał mu miejsce obok siebie.

OD WYDAWNICTWA

Ponieważ z wiosną ożywia się w Polsce ruch umysłowy, wzrasta bowiem otucha, że warto żyć i myśleć o przyszłości, więc i wydawnictwo nasze liczy na znaczny przyrost nowych odbiorców. Nie wątpimy, że pomogą w tem Sz. Czytelnicy, dający wydawnictwu tyle dowodów uznania i życzliwości.

Administracja uprasza o wczesne przysyłanie przedpłaty na sezon wiosenny i letni. Opłata łączna za dwa kwartały wynosi tylko 17 zł. i uproszcza kłopoty z pocztą. Za trzy kwartały (do końca roku) 26 zł.

Szczegóły na ostatniej stronie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.